

BIBLIOTEKA NOWELISTYCZNA



HELENA FILOCHOWSKA

CZARNE ŁABĘDZIE

III.

KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI WYDAWNICZEJ J. CZERNECKIEGO W WIELICZCE

CZARNE ŁABĘDZIE.

BIBLIOTEKA NOWELISTYCZNA
TOM III.

HELENA FILOCHOWSKA

3356

CZARNE ŁABĘDZIE

NOWELE

(Z PORTRETEM AUTORKI)



KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO
W WIELICZCE

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



Orkiestra grała walca. W salonie empire oświetlonym wspaniałymi kryształowymi żyrandolami tańczyli goście Ostojewskich.

Byli tam wytworni, młodzi mężczyźni, o arystokratycznych, zlekka łysiejących czaszkach, pięknych nazwiskach i magnackich fortunach, imponujących jeszcze, lub już nadszarpniętych polowaniami na słonie w Afryce, lub wycieczkami do miłego księstwka Monaco.

Obok ich zlekka zblazowanych sylwetek rysowały się mocno i energicznie postacie panów równie wykwintnie ułożonych, ale zrośniętych z rodzimą ziemią nierozzerwalnie i kochających ją krwią i sercem, nie dla pełnej snobizmu pozy lub Ruskinowskiego kultu piękna i nie dla modnej sielanki na tle czysto swojskiem i idyllicznem.

Obok smukłych, nerwowych i subtelnych piękności z Wiedeń'owskich portretów „en grisaille“, o których Oskar Wilde powiedziałby, że mają w sobie coś z orchidei i coś z tanagryjskiej figurki,

w ramionach tancerzy snuły się w rytmie bostona ozłocone słońcem, wysokie, pysznie zbudowane panny, nietknięte neurastenią i histeryą, wychowane przez stare angielski lub zeszłowieczne ciotki w poszanowaniu tradycyi i splendoru bijącego ze starych, świetnych nazwisk.

Na stylowych fotelach i kanapkach nudziły się dystyngowane starsze damy w brylantach, mające niekiedy w zgasłej piękności cienkich rysów coś z dawnych, sentymentalnych kasztelanek, lub melancholijnych wojewodzin, żyjących jeszcze w starych portretach, w półmroku tajemniczych sal odwiecznych zamków. Wśród jasnych zwiewnych toalet tancerek, lśniła czarną morą wspaniałej sukni piękna siwowłosa pani domu, uprzejmie rozdająca gościom pełne wdzięku uśmiechy i słowa. Czujna, inteligentna służba w granatowej ze złotem liberyi, chwytiała każdy dla niej widzialny ruch białej ręki i cicho, umiejętnie roznosiła na starem srebrze tac kunsztownych chłodników i owoce.

W pokojach pana domu mężczyźni grali w wista, przechodząc co chwila do palarni, gdzie przy sauternie kilku młodych ziemian opowiadało z gorącym ożywieniem o ostatnich wyścigach w Auteuil. Ktoś nucił angielską, uliczną piosnkę, ktoś zachwycał się sławną Jane Lading tańczącą „Vampyr-Dance“, a ktoś nielicznym słuchaczom opowiadał prześlicznie, raczej malował pastelowo i subtelnie, z niesłychaną miłością pię-

kna, treść książki Hearn'a „Izumo“. I w dusznej palarni pachniały nikiel, japońskie pola złocieni, różowe brzoskwiniowe gaje, pełne złotych motyli i maleńkich, ślicznych jak cacka, kobietek o czarnych włosach i płochliwych gorących cudownych oczach...

Oparta o kolumnę werandy słuchałam pełnego tajemnic szeptu ciepłej czerwcowej nocy. Za mną szumiały ciemne drzewa parku, a blisko białe klomb okwitającego jaśminu słał smugi woni odurzającej, ciężkiej, rodzącej bezświadomą tęsknotę, pełną smutku i upojenia.

Przez amfiladę oświetlonych pokoi patrzyłam na tańczące pary i marzyłam, aby znikły banalne damy w wąskich sukniach od Douceta i panowie w smokingu, aby zmiłki boston i ożyły piękne kasztelanki i melancholijnie uśmiechnięte wojewodzine z portretów, aby ich białe pudrowane główki pochyliły się w zalotnym ukłonie cudnego menueta przed smukłymi panami w błękitnych frakach, perukach i jedwabnych pończochach, spiętych kosztowną klamrą...

Albo aby marsowi senatorzy z orlimi profilami, dumni wojewodzi o oczach ze stali, odrzucając wyloty bogatych kontuszów, poprowadzili w posuwistym, majestatycznym, rozlewnym polonezie śliczne panny w atlasowych kontusikach i złocistych trzewiczkach, piękne, jasnowłose białogłowy w brokatach i perłach, królewskie ma-

trony-orlice, co synom-rycerzom bez łyzy przed krwawym bojem złociste ryngrafy na nieustraszonych piersiach zawieszały...

Cały ten dwór ogromny, stary, pełen zczerniałych portretów, stylowych mebli i odwiecznych pamiątek emanował czarem zawsze żywych wspomnień o umarłej, świetnej przeszłości.

Do werandy, na której stałam samotna, przylegał mniejszy, ciemnoszkarłatny salon pełen starych, zdobnych bronzami mahoni, bielejący żółtym marmurem kominka, przed którym przed wiekiem dumał w krwawym świetle ognia uciekający z pod Moskwy i Smoleńska ku Łomży samotny „bóg wojny“, dotąd zwycięski „władca świata“.

Tu, zamiast spocząć, snuł się bezsennie, marząc może posępnie, z głuchym, tłumionym jękiem o swej niedawnej, imperatorskiej, krwią opływającej potędze... Patrzył w okno, w srebrną, mroźną noc i płakał może bez łez nad losem swej armii zasuggestyjonowanej stalowym błyskiem olśniewających wspaniałych oczu, armii, która rozpierzchną, zdziśiatkowana szła bez broni, gromada straceńców i konała w śniegach powolnie z okrzykiem na sinych, stygnących ustach: „Vive l'empereur!“

Tu jego orla, przepyszna, zwycięska głowa chyliła się na pierś nieustraszoną — zmęczona i znękana, posępna i groźna, a może śniąca dalej

nienasycenie i drapieżnie swój sen szalony
o wszechpotędze — zuchwały, krwawy sen...

Te ściany ciemno-szkarłatne wchłonęły jego
głos, gdy ubrany do drogi w ową delię z zielo-
nego aksamitu i soboli, dziękował krótko Osto-
jewskiem za kilkogodziną gościnę...

— Tu był „mały kapral“ — myślałam i siłą
fantazyi wywołałam dla oczu mych z przeszłości
purpurowy blask ognia i marmurowy, posępny
profil Napoleona, opartego o rzeźbę kominka.

Po chwilowem silnem wzruszeniu, wróciłam
znów wzrokiem do dwóch portretów, wiszących
naprzeciw siebie, które od kilku godzin wraz
z wspomnieniami o Buonapartem pochłaniały mą
wyobraźnię. Owiewał je jakby ciemny obłok ta-
jemniczości i tragizmu.

Na jednym z nich olśniewała pięknością mło-
da, bardzo młoda kobieta. Staroświecko ułożone
ciężkie sploty brązowych, jakby poślaczanych
włosów tuliły się miękko do owalu twarzy, ude-
rzając podobnej do pięknej przyjaciółki baronowej
de Stael i Chateaubriand'a, Julii Recamier. Cienki,
długi nos, małe czerwone usta i duże, czaru-
jące oczy zdawały się żyć, uśmiechać i mówić
w marzącem świetle kryształowych lamp. Białą
długą szyję owijał potrójnie sznur pereł zabarwio-
nych bladym różem od krwi pulsującej w płożo-
niętej, wysokiej piersi, którą zdobił w suknię ga-
zową, staroświecką wpięty pęk ciemnych, prawie

czarnych róż. I jak zastygła krew znaczyły się te różę krwawoczarne w białej piersi i w skroni białych wśród złotobronzowych, ciężkich splotów.

Duże, cudowne oczy — dziwne i okropne, bo pełne pieszczoty i zgrozy — marzenia śmiertelnej trwogi patrzyły żywym, przejmującym spojrzeniem w portret wiszący naprzeciw, w którym zdawał się żyć także młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna.

Patrząc na niego zdawało mi się, że przed chwilą odrzucił z czoła czarne, wijące się włosy, że przed chwilą skończył mówić i wśród dumnych, pamiętnych, zlekka niedomkniętych ust, lśniły mu jeszcze białe, piękne zęby. Twarz ta — rzadka i dziwna — zwyczajna i dumna, zacięta i blada, gorzała jakimś potężnym ogniem namiętności, dyszała jakimś płomiennem, wielkiem marzeniem. Na dnie oczu głębokich paliło się jakieś wzniosłe szaleństwo, pogarda śmierci, miłość ofiarna, cudotwórcza, pełna bohaterstw, nie znających kresu. I obok tej miłości ofiarnej i bohaterskiej w oczach ognistych patrzących w pełne pieszczoty i grozy żrenice kobiety z portretu, czałł się ciemny głęboki cień tej innej miłości — tej, która wiedziała, że nie sądzono jej zakwitnąć płomiennym pocałunkiem na ustach maleńkich, tak podobnych do pięknych ust Julií Recamier...

— Jaka tragedia owiewa te dwie młode, dziwne głowy? — myślałam, wchłaniając woń nocy

i starając się nie słyszeć melodyi walca. Oparta o kominek, przy którym niegdyś dumał błady Bonaparte, patrzyłam w zamyśleniu na portrety. I z przyległego, równie pustego salonu, nadeszła nagle smukła i wytworna Stella Ostojewska, w której dopiero teraz dostrzegłam uderzające podobieństwo do nieznajomej z portretu.

Uśmiechnęła się kącikami ust i zapytała cicho:

— Czy panią zaciękawili te dwa wizerunki?

— Tak. Gdybym mogła znać ich historię...

Męczy mię tragizm, który przeczuwam...

— Dużo piękna i dużo grozy kryje się w tej historii — powiedziała a oczy jej zasnuł smutek i marzenie, upodobniwszy je zupełnie do przepięknych oczu damy z portretu. — To siostra mej babki. Nosila śliczne, obce imię: Beatrice. A to jej narzeczony — piękny, prawda? I ten płomień we wzroku... Chce pani poznać ich dzieje?

Spojrzałam dziękczynnie w jej głębokie, marzące źrenice.

Ujęła mię pod rękę i minawszy kamienne stopnie werandy, powiodła w ciemne grabowe aleje parku.

Owionął nas pachnący, niewysłowiony czar nocy czerwcowej. Nad naszymi zamyślonemi głosami zamknęło się sklepienie drzew odwiecznych, szumiących cicho i wonnie w tajemniczym, głębokim milczeniu. Niekiedy przez strop splecionych

konarów zalsniło blade niebo, osypane gwiazdami i w ich nużącym blasku bieleły wyraziście rzeźbione w kamieniu, omszone wiekami ławki i nagie torsy Nymf, Dryad i Amorów patrzących z martwym uśmiechem pustemi bez źrenic oczami, w labirynt ciemnych alei.

Zbiegłyśmy po kamiennych schodach nisko, gdzie jak płat nieba usiany drżącą pożyłą gwiazd śnił wśród czterech alei czarnych, grabowych drzew staw nieruchomy, jak tafla srebra i błękitu. Cicho, jak w marzeniu, snuły się po nim dwa czarne pyszne łabędzie — cudne, żałobne, smukłoszyje i dziwne, jak śniony w łzach jakiś sen przesmutny pełen śmiertelnej melancholii.

Zamknęłam oczy. Widziany obraz wydał mi się marzeniem duszy tęskniącej do piękna mojem własnem marzeniem, którem jako młoda dziewczyna upajałam się w letnie, ciepłe noce. Przypomniałam sobie, iż zmęczona pospolitością i brzydota życia, uciekałam zawsze w mnie tylko znany czarodziejski świat snów. Był tam staw lazurowy i srebrny, w ramie czarnych, milczących alei i na tym stawie przecichym dwa żałobne senne łabędzie...

Nad stawem tym usiadłyśmy w chłodnem wgłębieniu ławki rzeźbionej w lwie przepyszne łby. Długo patrzyłyśmy na dwa królewskie czarne ptaki, pod któremi ledwie uchwytnie drżała blado-błękitna i srebrna woda.

I w ciche milczenie parku wionął niski, tajemniczy głos Stelli Ostojewskiej, podobny raczej do trwożnego szeptu:

— Miała słodkie, obce imię — Beatrice... Ile kroć o niej myślę, myślę słowami Ruskin'a: „Dyskretna jak figura na gobelinie, potężna jak wieszczka, płomieniem milcząca, jak pochodnia, o rysach czystych i prawych, o stopach lekkich, które nie przygniatały kwiatów, ale je ożywiały. I zaiste, mimo jej olśniewającej piękności, nie było w niej nic z Ticyanowskiej Laury Dianti, „mizdrzącej się przed zwierciadłem“. Piękność jej była łaską nieba, snopem światła, ukojeniem i rozkoszą oczu. Kochały ją gwiazdy, drzewa, kwiaty i łąbędzie, a ludzie uśmiechali się do niej nieśmiało, z drżeniem jak do anioła. Gdy szła na wieś czynić dobrze, dzieci i starcy obrzucali ją kwiatami. Cały dom — rodzice, rodzeństwo służba, żyli w smudze jej czaru, jej dobroci i anielstwa, czujni na każde drgnienie jej królewskich brwi, na każdy jej uśmiech i słowo wymówione małym ustami. Kochała kolor zorzy i wszystkie jej suknie, jej pochoje, miały subtelną, bladoróżową barwę. Lubiała o zmierzchu śpiewać w wielkim salonie, akompaniując sobie na starym fortepianie, na którym od jej śmierci nikomu grać nie wolno. Lubiała także wieczorami śpiewać nad tym stawem czarnym, jak te, łąbędziom... Siedziała na tej ławce i śpiewała, a one cicho podlatywały ku niej i nieruchome u jej

stóp słuchały, a potem poddawały pieszczocie jej rąk przeźroczystych swe czarne, giętkie szyje...

W miesięczne, blade wieczory, po tych miłujących aleach snuła się oparta na ramieniu Andrzeja Brzeskiego, który ją kochał miłością, czystą a namiętną — miłością dziś już nieznana, potężną jak śmierć, pełną niewysłowionej czułości i uwielbienia... Te białe Dryady słyszały ich szepty... widziały, jak dumna, a pokorna męska głowa, chyliła się ku drobnym stopom uśmiechniętej Beatrice...

I Beatrice kochała narzeczonego miłością, której nie znają dzisiejsze kobiety. Była to miłość płomienna, dumna, czysta, zdolna do bezgranicznych ofiar i poświęceń. Niech pani pomyśli, że na tej samej ławce siedzieli niegdyś oni, a do ich stóp po księżycowej tafli stawu płynęły bezszelestnie czarne łabędzie i trwały w niemej kontemplacji ich piękna...

Przyszły krwawe czasy. Sześćdziesiąty trzeci rok powiał sztandarami krwi i żałoby. Po lasach i błotach ginał od kul i pałaszy obcych sam kwiat naszej młodzieży... Krwią gaszono pyszny, dumny, buntowniczy płomień, suchym trzaskiem salw głooszono młodzińczy okrzyk: Jeszcze nie zginęła! Na białych polskich drogach stawiano szubienice, nahażkami spędzano lud, by widział, jak na czarnym haku szamoczą się ofiarni bohaterowie w ostatniej męce agonii. Pod szumiącemi sosnami

ustawiano w rząd młodziutkich partyzantów i w ich piersi chłopięce posyłano sto kul świszczących, kul niechybnych...

Zresztą zna pani dobrze echa tych strasznych lat... Andrzeja Brzeskiego także porwała zawierucha. Zwano go „Piorunem“. Był groźny, straszny i genialny jako wódz swego oddziału. Rozbijał całe oddziały wrogów, sam niezwyciężony, tajemniczy, niedościgły, a przed kulami i ostrzami pałaszy osłaniały go piersi jego młodych żołnierzy, którzy z uśmiechem ginęli za niego.

On walczył, a Beatrice marmurowa i spokojna robiła opatrunki, szarpie, wysyłała w lasy pełne jęku, grzmotu i wrzawy wozy z żywnością i lekami. Nikt nie widział, aby kiedykolwiek zaдрżały jej usta, aby jej dumne, królewskie oczy napęłniły się łzami trwogi i męki. Bładła tylko i stawała się podobną do snu, albo anioła z przeduchowioną twarzą w swej bladej, zwiewnej sukni, koloru zorzy. Pisała wówczas w książce o złoconych kartach w różowy safian i perłową masę oprawnej: „Niechaj będzie jako piorun straszny i nieunikniony... Niech go Bóg ma w opiece, niech od kul broni jego piers rycerską, niech pozwoli dłoni jego nieznużonej przysporzyć chwały i wolności Ojczyźnie kochanej...“

W kilka dni potem pisała: „Powiedziałam dziś łabędziom moim przy miesiącu, wieczorem, że serce moje mrze z tęsknoty...“

Pewnej nocy zbudziła się nagle. Zdawało jej się, że słyszy wołania Andrzeja. Wiedzioną potęgą przeczucia czy cudu, wybiegła bosa, narzućwszy na bieliznę jakieś lekkie szatki, do parku. I w blasku księżyca za murem zobaczyła ciemną postać na koniu. Niedaleko grzmiały salwy.

— Chciałem cię jeszcze raz zobaczyć, Beatrice — powiedział cicho, zmęczony, drogi głos. I w srebrnym blasku letniej nocy Beatrice zobaczyła ukochaną, skrwawioną głowę, bladą twarz i zgasłe, świetne niegdyś oczy. Jednym skokiem była przy Andrzeju. Swemi przeźroczytymi rękami dotykała nieprzytomnie jego twarzy i skrwawionych włosów...

— Tyś ranny? — pytała bez szlochu, bez jęku.

— Tak. Rozbito mi mój oddział... Ścigają mnie. Muszę umrzeć. ale pierwszej chciałem cię zobaczyć, Beatrice... — zaszemrał znów głos mrący.

— Musisz żyć dla mnie — powiedziała cicho i powiodła go, słaniającego się, ciemnymi alejami do dworu. Natychmiast posłano po chirurga, obmyto i przebrano rannego. Nie mówił nic, tylko patrzył w białą postać Beatrice i tulił jej ręce do płonącego czoła. Co chwila szeptał jej imię i przymykał sennie obrzmiałe powieki z ukojeniem, czując jej bliskość.

Przy opatrunku chirurg znalazł małą, niegroźną, niebezpieczeństwem ranę i Andrzej zasnął.

Ale o świcie stary kamerdyner, blady ze zgrozy przyniósł straszną wieść... Po chwili dom był pełen kozaków. Rannego ukryto w różowej pachnącej sypialni Beatrice, za kotarami, kryjącemi umywalnię. Wstępu do sypialni córki bronił wspaniały i straszny Leszek Ostojewski. Nie zadrżał, gdy mu lufę rewolweru przyłożono do piersi.

Ale w jego lwiej głowie był taki majestat, że oficer nie ośmielił się pociągnąć za cyngiel — odsunięto starca przemocą a wojsko wtargnęło do dziewczęcej, wonnej, różanej sypialni. Zwleczono z łóżka Beatrice .. Oficer oślepiony jej pięknością dotknął jej dziewiczej cudownej szyi... W tej chwili z za różowej kotary padł celny strzał. I Andrzeja Brzeskiego wywleczono do parku, wleczono go temi samemi szumiącemi alejami, które księżycowe noce, dyszące wonią i upojeniem wiosny, nakrywały ciemnym stropem, niby kopułą świątyni dwie rozkochane, młode, piękne głowy narzeczonych. I za murem parkowym przywiązano go do tej białej, prześlicznej brzozy, którą pani tak wyraźnie widzi w miesięcznym blasku. I Beatrice, biegnąc za straszliwym orszakiem ofiary biegnąc cicho, bez krzyku, z czającym się obłędem w cudownych oczach, widziała w różowym rozbrzasku ostatni, pożegnalny ruch bezsilnej ręki. Podobno zawołał cicho: „Beatrice!“ Chciała biec do niego, przytulić się do jego stóp, powiedzieć mu jeszcze jedno purpurowe, ostatnie słowo mi-

łości... rzucić mu to słowo miłości na jego mężną nieustraszoną pierś, jak pachnącą ostatnią różę czerwoną! Jeszcze raz przeźroczytymi rękami wionąć smugę ukojenia na blade, dumne rysy, na piękne, orle oczy, patrzące w twarz wrogów z zimną, wyniosłą wzgardą. Ale już huknęły strzały... Przez siny dym zobaczyła jeszcze raz żywe, wpatrzone w nią, bohaterskie oczy... A potem głowa opadła martwa na pierś, rozdartą dziesiątkami kul...

I cudna, biała Beatrice dostała obłądu. Co noc służba śledziła jej kroki, gdy kamiennymi stopniami parku biegła w dół, ku murowi, za którym niegdyś głosem duszy wołał na nią ranny jeździec. Wyciągając w próżnię ręce szeptała słowa miłości i ukojenia, a potem zwolna, jak gdyby wiodąc kogo ostrożnie, kogoś śmiertelnie znużonego i ranego, szła do pałacu i w jednym z gościnnych pokoi siadała przy próżnej pościeli, subtelnie, z pieśszcota dotykając cienkimi, białymi palcami poduszek. I o świcie przerywała znów tę krwawą straszliwą tragedię, znów biegła z szeroko otwartymi oczami ku białej brzozie i patrzyła bez jęku, bez krzyku... patrzyła...

Według polecenia lekarzy wywieziono ją z kraju i umieszczono pod dozorem zaufanych osób w prześlicznej wili w Mentonie. Lekarze sądzili, że oddalenie chorej od miejsca, w którym rozegrała się straszna tragedia i czarująca pano-

rama morza, różowych ogrodów oleandrowych i palmowych gajów, wpłyną kojąco na chorą psyche nieszczęsnej. Ale było to tylko złudzeniem. Beatrice pewnej nocy skoczyła z tarasu willi w przepaść.

.

.

Po lazurowym i srebrnym stawie cicho, cicho, jak we śnie pływały czarne łabędzie. Usnął park odwieczny. Przez splątane konary lśniło blade niebo osypane gwiazdami. W półmroku bieleły kamienne ławki i nagie torsy marmurowych dryad, nimf i trwożnie patrzących w labirynt ciemnych alei erosów.

Zamknęłam oczy.

Z grabowej alei, z aksamitnego mroku ciepłej letniej nocy wyłonił się blady, smukły, kobiecy kształt. Z ciemnych, po staroświecku ułożonych loków zajaśniała prześliczna, biała twarz, uderzająco podobna do twarzy Julií Recamier. Wysmukłe kształty owiewał, jak obłok o barwie zorzy lekki, balowy strój. Białą, długą szyję owijał potrójnie sznur pereł, zabarwionych bladym różem od krwi pulsującej w półodsłoniętej, wysokiej piersi. Zdobił ją pęk ciemnych, prawie czarnych róż, róż, podobnych do zastygłej krwi...

.

Biała dama pochyliła się nad stawem ze srebra i lazuru i oto cicho, bezszelestnie podpłynęły ku niej czarne, pyszne smukłoszyje łabędzie...

.
.

...Powiedziałam dziś łabędom moim przy miesiącu wieczorem, że serce moje mrze z tęsknoty...

— Na imię było jej Beatrice — powtórzyła, jak we śnie Stella Ostojewska.

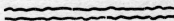
.

Czarnemi grabowemi alejami wróciliśmy do pałacu.

.

Orkiestra znów grała walca i w salonie empiire oświetlonym wspaniałymi kryształowymi żyrandolami tańczyli goście Ostojewskich.

Lomża 1911.



AKACYE KWITNA₂

— Fiori... Fiori... Fiori... — szeptała z uniesieniem patrząc na przepych róż przelewających się przez mury ogrodów na uliczkę wąską i ciasną, której biel ostrą i olśniewającą łagodziły delikatne cienie palm i drzew oliwnych.

Przez chwilę zapomniała o obecności młodego księcia. Podniecona upałem, oczarowana nieopisaną pięknością pejzażu przypadła płonąca twarzą i piersią drżącą westchnieniami zachwytu do kwitnących szkarłatnych i białych gałęzi.

W każdym mięśniu, nerwie, w każdej komórce mózgu i każdej kropli krwi czuła rozkosz tak ostrą i trudną do zniesienia, że chciała krzyknąć z bólu i upojenia. Rozpętał się w niej jakiś tajemniczy, radosny instynkt, instynkt prawie zwierzęcy, który podszeptął jej, że mogłaby rwać pełnemi garściami pachnące, miękkie kwiaty, a potem, szybko zrzuciwszy suknie tarzać się w ich upajającym aksamicie całym ciałem znużonem upałem, świadomem swych sił i potęgi swej bujnej zwycięskiej młodości.

Oddychając ciężko, trwała w męczącym upo-
jeniu wsłuchana w bicie swego serca. Tuląc do
ust kwiat przed chwilą zerwany, zobaczyła przez
nieedomknięte powieki kamienną ławkę. Jednym
skokiem stanęła na jej płaskim oparciu i prze-
chylona przez mur chciwemi szalonemi wprost
oczami obiegła ogród palm, kaktusów i aloesów,
czarną aleję pinii wiodącą do pałacyku tonącego
w purpurze i bieli rozkwitu, gdzie w cienistej
kolumnadzie tarasu spały, czy marzyły na leża-
kach dwie białe ubrane, młode kobiety.

Poza tym ogrodem buchającym w złote od
zwolna gasnącego słońca powietrze ciężką wonią
kwitnących drzew i krzewów, cicho dyszało
blade, ametystowe morze poznaczone siecią drzą-
cych, srebrnych dróg, które zostawiły okręty
dążące do Genui. Na jasnej, prawie nieruchomej
tafli pływały jak dwie fantastyczne, surowe bryły
złota dzikie złomy Faraglioni i chłoniły cały
przepych słońca, całe czarowne, ciepłe światło
odchodzącego w błękity zmroku dnia. Tuż u po-
szarpanych skał wybrzeża płynęły małe barki
wątłe i srebrne, podobne do pajaków snujących
się po bladomodrym, lekko drżącym płacie je-
dwabiu. Pobiegła wzrokiem ku tej dali z błę-
kitu, słońca i ametystów, gdzie otchłan morza
łączyła się z otchłanią nieba i ciągnęła, porywała,
nęciła aż do utraty zmysłów przeczuwanem ist-
nieniem nieznanych słonecznych krajów, białych,

gwarnych miast, lazurowych zatok, różanych gajów i kwietnych, czarujących wysp. Wciąż stojąc na ławce z zarzuconemi pod głowę ramionami gwałtownie podana naprzód zaśmiała się głośno w poczuciu upojenia, jakiejś radosnej, zapierającej oddech tęsknoty i rozkoszy nie mającej nazwy. Całe jej ciało drżało siłą i młodością pod cienką, białą suknią, jak mocno napięta cięciwa łuku. Przez zamknięte prawie usta rzuciła namiętnie:

— Questa isola, principe... Ach! questa isola... Bellissimo paradiso del mondo — O Capri! —

Caracciolo patrzył na cudzoziemkę ze zdumieniem i dyskretną admiracją. Jako artysta i jako mężczyzna musiał szczerze podziwiać ten dyszący młodością twór tak niesłychanie inny od wszystkich znanych mu dotąd dobrze urodzonych panien, mężatek, rozwódek i wdów różnego wieku i narodowości zdzierających pracowicie modne, londyńskie lub paryskie trzewiczki ze skóry antylopy po stromych urwiskach cudnej wyspy. Ani jedna z flirtujących z nim chętnie Amerykanek, Francuzek lub Angielek nie płonęła tym porywającym i pożerającym wewnętrznym ogniem oczarowania, tym szalonym wprost zachwytem dla piękna przedziwnej natury. W żadnej z nich nie dostrzegł nawet cienia tej wprost fizycznej, tajemniczej i udzielającej się namiętności ku pięknu, którą emanowała cała postać

młodej kobiety. Tkwiący w nim artysta z zachwytem przeczuwał bogactwa tej rzadko indywidualnej duszy, widząc ją tak niezwykłą i ujarzmiającą w żarze spalającej namiętności ku naturze. Jako świadomy, znający życie mężczyzna, ulubieniec najpiękniejszych kobiet Rzymu, Florencyi i Neapolu widział jasno wszystkie tajemne wartości cudzoziemki jako kobiety. Wyobrażał ją sobie żywo i plastycznie bladą i czarującą z tymi płowymi włosami, które dziwnie i nikle złocą się na tle hebanowych głów jego rodaczek z szaremi, pozornie zimnemi oczyma kobiet dalekiej północy, płonąca inną, zawrotniejszą namiętnością niż ta, którą dyszała tak odurzająco na widok cudu morza, kwietnych ogrodów i straszliwych urwisk Capri.

Patrząc na nietkniętą opalenizną, białą jak genueński aksamit szyję cudzoziemki, westchnął, gdyż niewypowiedzianie nudnemi i szaremi wydały mu się wszystkie kobiety, które mu wypełniały próżniacze, beztreściwe życie magnata i spadkobiercy wielkiego nazwiska. Zrywając różę czerwoną jak płomień, powiedział cicho:

— Pani jest wielką artystką.

Pobiegła na cypel skały i oddychając szybko wybuchnęła:

— Jakże tu można nie być artystką, książę? Boże... Gdy przymknę tak oczy i czuję tylko tę napinającą nerwy do granic ostatecznych woń

ogrodów rozkwitłych, widzę, wyraźnie widzę wille Tyberyusza z marmuru i złota przed wiekami wybudowane rękami czarnych niewolników wśród gajów oliwnych i pomarańczowych, widzę na tarasach wśród palm, kolumn z jaspisu i białych posągów uczty szalone. — Widzę nagie, pijane tancerki, flecistki w szkarłatnych gazach z Indyj, słyszę śpiew pieśniarek, słodką grę flecistów i ryk płowych lwów miotających się ku ucieście tłumu w klatkach ze złota. — — Ilekroć razy jestem pod ruinami willi Tyberyusza, zdaje mi się, że widzę na lazurze morza przypływające łodzie pełne lampionów i kwiatów, łodzie rozśpiewane —

— Cezar w purpurze i wieńcu z róż, dziewice w białych pallach, gladyatorzy, kurtyzany w chalcedonach i szmaragdach, z małym oswojonym wężem na piersi godnej dłuta Praksytela lub poematu Owidyusza. — A pod mostem wysłanym szkarłatnem suknem, na którym tańczą tancerki i śmieje się tłum pijany, czarni niewolnicy przykuci do wioseł, smągani knutem dozorczy, śmiertelnym obłani potem, nuca ochryple szaloną z tęsknoty, wściekłości i rozpacz, cichą pieśń —

— Albo słyszę w duszne, jasne noce płacz germańskich, jasnowłosych niewolnic z pałacu, w którym tu mieszkał Augustus ze swym stu-barwnym, pełnym przepychu dworem poetów, muzyków, aktorów, aktorek, błaznów, paziów, pięknych kurtyzan i niewolnic. — —

w ojczyźnie pani, tak słynnej niegdyś z walecznych nieustraszonych rycerzy, a dziś z pięknych kobiet, teraz, w czerwcu leżą jeszcze śniegi ogromne? Że do miast wdzierają się z puszczy niedźwiedzie, wilki i pożerają małe dzieci? Że na ulicach wolno tam strzelać do ludzi, jak my tu strzelamy do przepiórek?

Mówił to z miną tak pełną powagi i szczerego zaniepokojenia, że Lena oparta nad przepaścią o cypel skały, wybuchnęła szalonym młodym, śmiechem. Śmiech ten wstrząsał i gwałcił całą jej postać, zawieszoną nad otchłanią, w której cicho oddychało lśniące jak opał morze, zasnuł jej oczy łzami i powlókł twarz ciepłym rumieńcem.

Caracciolo porwany jej wesołością, zaśmiał się także szczerze i głośno.

— Choć właściwie trudno w to wierzyć — mówił, hamując śmiech i ocierając czoło jedwabną chustką. — Choćby dlatego, że kobiety polskie są tak uderzająco wytworne, pełne wyrafinowanej, zupełnie zachodnio-europejskiej elegancji i tak bardzo piękne... Współcześnie i kulturalnie piękne, że się tak trochę dziko wyrażę... Ktoś je porównał z paryżankami, ale porównanie to stanowczo nie wytrzymuje krytyki. Paryżanka, to taka sobie ot, Rops'owska „kompozycja z nerwów, jedwabiu i pudru“ a w waszej kobiecie prócz zewnętrznego piękna, wytworności i uszlachetnionego szyku, tego szyku first class, jest jakieś piękno wewnętrzne, duchowe

jakiś czar głęboki i trudny do nazwania, coś rzadkiego, niewytłumaczonego, przed czym mężczyzna musi chylić czoło... Ja osobiście jestem bardzo zepsuty i przywykłem raczej do takich buduarowych, silnie uperfumowanych demonów w tualetach od Worth'a i Doncet'a, do kobiet Maupassant'owskich, drażniących i niepokojących — właśnie do tej kompozycji z nerwów, jedwabiu i pudru — mówił z lekkim cynizmem w prześlicznym niedbale uśmiechu. — Ale — przyznaję — cała moja swoboda i nonszalancja giną, gdy znajdę się wobec dumnej, jak sto hiszpańskich infantek, Polki, wobec jej zimnych a mimo to palących oczu, w których jest coś czystego, wielkiego, królewskiego. Jest w was czarująca zalotność Laury Dianti i dyskretny wdzięk powagi Ruskin'owskiego ideału kobiety. Może dlatego znawcy twierdzą, żeście godne, aby nietylko za wami szaleć ale was kochać... Niechaj signora zechce zrozumieć cały głęboki sens tego, dziś już zapomnianego, cudownego słowa — k o c h a ć, całą jego treść wstrząsającą —

Zamyślił się i po chwili zapytał z uśmiechem, lecz ze smutkiem w spojrzeniu:

— Więc te śniegi? Te niedźwiedzie signora?

Z zadumą szepnęła czując w sercu miłość i tęsknotę:

— U nas teraz akacje kwitną... Dopiero teraz książę... Białe, pachnące akacje...

Nagle zatęskniła boleśnie do zapachu rodzi-

mych dalekich pól, kołyszących się w słońcu, jak morze ze szmaragdów i złota, do nocy letnich, miesięcznych, gdy akacje proszą białym kwiatem i pachną... pachną... W sercu jej wybuchła miłość do tej ziemi najdroższej, przesiąkłej krwią, pozna-
czonej krzyżami i kurhanami cichego męczeństwa. Obcemi wydały jej się pełne marmurowych cudów muzea neapolitańskie, sorrentyńskie gaje pomarań-
czowe, cudne, odległe dni Tyberyuszów i Augu-
stów. Zapra gnęła przypaść w porywie tęsknoty do jakiegoś wzgórza, pachnącego macierzanką w upalny złoty dzień i wsłuchać się chciwie w ta-
jemne bicie wielkiego serca tej płodnej, świętej ziemi.

Jakiś niewiadomy smutek opadł na jej oczy, przed chwilą pijane ekstazą zachwyty nad pięknos-
cią obcego kraju. Przypomniła jej się szumiący lipami cmentarz w cichej wsi, w której jako dzie-
cko spędzała wakacje w białym, owiniętym dzi-
kiem winem, domu babki. Kwitły tam wiosną wy-
sokie, fioletowe irysy. Gdy powiał wiatr, dziwne
kwiaty kołysały się wolno, sennie, gięły się wdzię-
cznie, jak młode, smukłe dziewczyny... Myśl
o wiejskim cmentarzu nasunęła myśl inną i szereg
obrazów żywych i plastycznych.

...Dworzec wiedeński w Warszawie pełen zgiełku
krzyku, zamętu... Przed wagonem, gotowego do
odejścia pociągu siwa Borzymowa z prośbą w znę-
kanych, zalanych łzami oczach:

— A jak pani będzie na Capri, to odwiedzi go pani, prawda? Już mu pisałam, że pani przyjedzie... Zaraz dostałam odpowiedź taką radosną... Ucieszył się, jak dziecko, że zobaczy kogoś z kraju, biedak... Już rok tam dogorywa... Ale serce matki łudzi się ciągle, łudzi...

Zdrój łez, gorzkich łez matczynych, spazmatyczny szloch umęczonej piersi i wyraz tych oczu starych, bezsilnych, podobnych do wyblakłej błękitnej emalii...

— Borzym... Borzym — pomyślała i przypomniała sobie jakieś odległe dni wiosenne, przeżyte przed laty w Krakowie, jakieś wonne, miesięczne wieczory, przejmujący jęk zegarów na wieżach wysokich i ciemnych... Włóczęgi po pachnących labiryntach plant, marzenia szalone o sławie, sztuce, pięknie... ekstatyczne uniesienia Borzyna nad czarem włoskich Prymitywów... Jakies gorące popołudnie dnia czerwcowego; gdy przyniósł jej pęk potwornie wielkich, przepysznych maków i spojrzawszy na jej usta zadrżał i schował bladnącą twarz w poznaczone błękitnemi żyłami ręce. Z za tych rąk wątych doszedł ją szept: Kocham... Szept, który przyjęła maską chłodną i sztywną, dumnym spojrzeniem oczu niewidzących i królewskich, choć w sercu jej zadrżało wówczas ciemne i bolesne uczucie żalu, jęk świadomości, że jest naprawdę i głęboko kochana i, że miłość taka tak rzadko ściele się pod kobiece stopy...

A gdy Borzym, po zdobyciu jakiejś nagrody za jej portret wyjechał do Paryża, życie zatarło prawie wspomnienie epizodu ze szkarłatnymi markami i porwało Lenę w wir nowych uczuć, wrażeń, radości i smutków.

Zbudziwszy się z zamyślenia, uczuła w sercu coś jakby pręt rozpalony — piekący, nieznosny ból wyrzutu. Przypomniała sobie błagalne, zalane łzami oczy matki Borzyna, jej cichy jęk, ginący w zamęcie i wrzasku dworca kolejowego... Przypomniała sobie drżący szept z za wątych rąk, poznaczonych sinemi liniami żył, szept: — Kocham...

— Co pani jest? — zapytał zaniepokojony książę. — Zgasła pani, pobladła... Taka pani inna w tej chwili... Gdzie wybuchy ekstazy, młodości, uniesienia? Zdaje mi się, że patrzę na inną kobietę... Nad czym pani cierpi?

Owinęła się mocno białym jedwabnym szalem. Było jej zimno. Głuchy wyrzut wpijał się coraz boleśniej w serce, mózg, w szalejące nerwy. Zapytała szybko:

— Książę, gdzie jest willa Peppina? Przypomniałam sobie, że już dawno powinnam była odwiedzić kogoś bardzo chorego... Rodaka, młodego malarza z mego rodzinnego miasta. Znam jego matkę nieszczęśliwą, która tak bardzo prosiła mnie...

Urwała i przymknąwszy powieki, ścisnęła skroń rękami. Słuchała objaśnień o kierunku drogi

wiodącej do willi, z męczącym niepokojem i uczuciem zamętu w ociężałych i leniwych myślach. Nagle pochwyciła zdumione spojrzenie pięknych zgaszonych oczu księcia. Drżąc nerwowo, podała mu bez słowa rękę na pożegnanie i zaczęła biedzką wskazaną ścieżką ku Punta Tragara.

Przewijała się wązkim przesmykiem między murami ogrodów, zalanyh kaskadami róż i powojów. Myśl jej jak czarny ptak, uporczywie krążyła koło nieznanej willi, w której czekał na nią, na wieści z kraju, na pozdrowienie matki, nieszczęsny, chory człowiek. Kupiła u małej fiorai ogromny pęk różowych gwoździików i myślała o radosnej pieszczocie wychudłych rąk, które delikatnie i miłośnie bładzić będą po pełnych, rozstrzępionych, jak chryzantemy, czarujących kwiatach.

— Przyniosę mu świeże, radosne piękno kwiatów i dobry, ciepły uśmiech — pomyślała. Będę musiała skłamać, że przyjechałam dopiero przed paru dniami. Biedny Borzym — —

Za prześlicznym pałacym wykładanym płytami marmuru zobaczyła w szybko gęstniejącym różowomodrym zmierzchu kontury skromnej małej willi, na której czerniał niewyraźnie napis.

— Villa Peppina — przeczytała z niepokojem i trwogą. Weszła szybko pod zielone sklepienie pnącego się wina, które tworzyło mroczną aleję, wiodącą ku werandzie.

Na kamiennej ławce siedziała starzejąca się

kobieta. Lena patrząc na jej precudne jeszcze rysy hellenńskiej rzeźby, bezwiednie przypomniła sobie, że na czarodziejskiej wyspie tej żyli niegdyś Grecy i tchnienie swego piękna zostawili na twarzach niektórych kobiet i mężczyzn.

Ogromnemi, pełnemi smutku oczami Włoszki patrzyła na jasną postać Leny, wyłaniającą się z opłotu winnych krzewów. Miała małe, ciemne i spracowane ręce, a na siwiejących włosach czerwoną chustkę, związaną sposobem wieśniaczek z pod Rzymu. Lena domyśliła się, iż jest ona padroną willi. Zapytała szybko:

— Signor pittore?

Kobieta patrzyła wciąż w milczeniu. Nagle rysy jej zadrgały i do przepięknych, aksamitnych oczu napłynęły łzy. Podeszła do Leny i powiedziała bardzo cicho:

— Povero... Wczoraj umarł, signora.

Schwyciła silnemi ramionami chwiejącą się Lenę i mówiła żywo płacząc bez łkania:

— Povero... Jeszcze wczoraj rano co chwila prosił: — Signora, proszę wyrzec, czy nie idzie tu pewna młoda, piękna pani... Signora giovane, bionda e bella... Rodaczka z daleka, z tego miasta, w którym mieszka moja matka... z pięknego, wielkiego miasta, Varsovia — mówił, czy Varsavia... Sam był zawsze samiutki... I umarł sam, z nikim się nie żegnał... Jeszcze wczoraj rano pisał jakiś list, ale go nie dokończył... Przyniosę go.

Znikła w ciemnej sieni i wróciła z białą kartą, przesiąkniętą wonią lekarstw. Lena wzięła ją automatycznie i zapytała z wysiłkiem:

— A gdzie... gdzie on... leży?

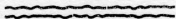
Padrona ukazała okno, w którym lekki wiatr kołysał firankę i zapytała szeptem:

— Może go signora chce zobaczyć?

— Nie... Nie mogę — jęknęła.

Chwiejąc się podeszła do okna. Trzęsącą się ręką odchyliła firankę i rzuciła pęk gwoździków w kierunku łóżka, na którym biała zasłonięty prześcieradłem, wychudły kształt. Oparłszy się bezsilnie o ścianę, wytężyła wzrok i z rozpaczą odczytała parę słów, nakreślonych chwiejnym, drżącym pismem:

„Pani Leno... Pani dotąd niema, a ja umieram... Tam u nas już akacje... akacje kwitną“...



ce

AMFORA

Tullius Cassius prowadził swego dostojnego gościa przez przepyszną kolumnadę peristilium, tajemniczo uśmiechnięty i pełen niemego tryumfu. Szybko rozsunął kotarę i wytwornym gestem ręki, na którą przedziwnie lekko i wyszukanie spadały fałdy śnieżnej togi zaprosił konsula Claudiusa do wnętrza swego gabinetu.

— A więc tu mieszczą się twe słynne zbiory rzadkich i tak cennych dzieł sztuki — uśmiechnął się gość i przez jego nieco zagasłe oczy przebiegł wyraz prawie lubieżny. Usiadł wygodnie na miękkich poduszkach selli, skrzyżował nogi obute w kosztowne calceus mulles z czerwonej skóry i przymknął ociężałe powieki, napawając się myślą, że tuż blisko, na pólczkach i postumentach z hebanu, słoniowej kości i marmuru czekają na jego zachwyt najpiękniejsze wazy, czary i rzeźby z całego Rzymu. Jego twarz nieco już obrzękła i skażona w swej niegdyś przeczystej piękności rysów tchnieniem hulaszczego życia przestała zdradzać uśmiechem, że konsul Claudius lubi tylko wino, piękną kobietę, szalony chaos uczt i przepych zbytku. Twarz ta

powlekła się jakby cieniem głębokiej zadumy, wyszlachetniała i wypiękniała w obliczu tchnienia sztuki. I oczy Claudiusa powoli przesunęły się po malowidłach ściennych, na których żyły i tańczyły różowe nimfy, małe genjusze śpiewające, obrzucające się wzajemnie garściami róż czerwonych i białych, złociły się dojrzałe, ciężkie winne grona i wdzięczne głowy tancerek osłoniętych mgłą gazy, uśmiechniętych pokusą świeżych, zdradzieckich ust.

Stąpając cicho, jak w świątyni, zbliżył się ku przyjacielowi Tullius Cassius.

— Chodź, pokażę ci, Claudiusie, bezcenne cuda... Cuda, rozumiesz? — zajrzał z uśmiechem głęboko w zamysłone oczy konsula.

Poszli po mozaikowej posadzce ku marmurowym postumentom. I Claudius zobaczył posągi ze spiżu korynckiego, wazy rzeźbione ręką Mentora, prześliczne czary z kryształu i inne, jak z tęczy — lekkie, opalowe, blade, pełne drzeń, połysków, perłowych jaśnień i księżycowych delikatnych tonów. Potem na purpurowem tle ścian wykwitły greckie Lakythos do wonnych olejków i balsamów, płaskie patery, Hydrye czarujące pokryte stylizowanymi liśćmi akantu i palmy, olśniewające szkarłatem, na którym żyły przepyszne ciała nimf, efebów i bóstw, wysmukłe wazy etruskie, hebanowo czarne z genialnymi płasko-rzeźbami, terrakotowe arcydzieła rzymskiej cera-

miki, lekkie i wytworne kubki z Arretium i Samy i podobizny bóstw uśmiechniętych i groźnych, łaskawych i okrutnych.

Nagle Tullius Cassius podszedł szybko do wgłębienia w marmurze ściany i rozsunał szkarłatną kotarę. Wyraz jego twarzy był skupiony i prawie surowy. Błade rysy owiało nieme uniesienie tajemnego, ekstatycznego kultu.

— Patrz — szepnął przejmująco przerzucając na ramię fałdy togí.

Konsul na chwilę przymknął powieki, ale znów je podniósł i nie odejmował już olśnionych, oczarowanych i porwanych oczu od cudownej wazy.

Pozornie była to tylko wysmukła, zachwycająca elegancją i wytwornością lekkich linii amfora grecka. Amfora miękkim, falistym i wiotkim kształtem podobna do poematu linii dziewczęcego ciała. Ale oto z jej lśniącego, czarnego szklíwa wyłaniała się jakby wczoraj a nie przed wiekami stworzona płaskorzeźba... Cudowna zjawia dziewczęcej postaci — biała i naga, żywa zda się i ciepła delikatnym, ledwie uchwytnym tonem ambry. Głowa pochylona międko na lewe ramię przykuwała czarem uśmiechu, w którym była radość i smutek, tęsknota i rozkosz, marzenie i namiętność. W spuszczonej powiekach czało się piękno oczu niewidzianych i niepokój nieodgadnionej tajemnicy. W rękach jakby bez-

bronnych kwitły pęki róż, które zdawały się pachnąć wiosną i białem ciałem dziewczyny. Od całej jej postaci bił tajemniczy, cudowny, nieprzewyciężony czar życia, piękna, natchnienia i sztuki, wielkiej, nieśmiertelnej sztuki.

Konsul rzucił przez zęby, chłonąc oczyma amphorę:

— Pomyśl, przyjacielu... Może sam Phidiasz albo Polyktet, którzy przecie garncarzom dostarczali modeli, obudzili do wiecznego życia tę białą, wiotką dziewczkę? Może była grecką tancerką? Może flecistką w błękitnej chlamydzie i złożonych sandałkach? Może który z nich widział ją wychodzącą rankiem z lazuru morza i dlatego kazał jej żyć, przetrwać wieki, czarować miliony oczu — jej — wrzeźbionej w czarne szklíwo helleńskiej amfory?

Tullius Cassius milczał. Nasycił się cudem swego skarbu. Był dumny, jak Cezar, jak bóg. Zbliżył się cicho do niszy i delikatnie, ostrożnie z czcią i lękiem przesunął końcem palców po wiotkiej linii amfory. Bez słowa zasunął kotarę i klasnął na niewolników. Wszedł egipski wyrostek, piękny jak dziewczyna, z długimi czarnymi puklami opadającymi na śnieżną, krótką tunikę.

— Niechaj tu przyjdzie Chrysis — rozkazał krótko.

Niewolnik znikł.

Po chwili zadrżała szkarłatna kotara i z fałd jej ciężkich tkanych złotem wykwitła biała, zawstydzona Chrysis.

Posłusznie i nieruchomo, jak posąg z różanego marmuru, czekała na rozkazy, otulona przejrzystą tkaniną o bladej barwie zmierzchu. Pokornie, stosując się do gestu ręki pana, odrzuciła zasłonę i jaśniała czystą, nieskalaną, wyniosłą i nagą pięknnością, jak żywe bóstwo.

Tullius Cassius z uśmiechem wskazał gościowi amforę i Chrysis.

— Oto dwie Greczynki. Która piękniejsza, dostojny konsulu?

Konsul z uniesieniem estety spojrzał na białą dziewczeczkę z Amfory i białą Chrysis.

— Na Bachusa! Obie są piękne, jak bóstwa... Obie są cudem — zawołał cicho ze zdumieniem, w olśnieniu.

I wielki konsul Claudius oparty o ramię przyjaciela utonął w ekstatycznej kontemplacji — w źródle najwyższego piękna, które biło z arcydzieła natury — nagiej jasnowłosej Chrysis i arcydzieła ludzkiego geniuszu — smukłej, czarującej, greckiej amfory.

Gdy w miesiąc później Claudius znów odwiedził Tulliusa Cassiusa, zastał go przechadzającego się w cieniach kolumnady perystylu i pogrążonego w głębokim smutku.

— Pomyśl, dostojny konsulu — powitał go

przygnębiony i bledszy — jakie nieszczęście stało się w mym domu.

I wprowadziwszy gościa do artium zwierzył mu:

— Pamiętasz Claudiusie tę cudną jasnowłosą Greczynkę, którą uważałem wraz ze swoją amforą za najpiękniejsze dzieło sztuki? Wbił jej nóż w białe gardło z zazdrości ten śliczny egipski wyrostek, którego u mnie widziałeś a który szalał za Chrysis...

— Pomyśl, że ta cudna rzeźba różana już gnije, rozpada się w proch...

Claudius zobaczył w oczach przyjaciela bunt, wściekłość, straszny, nieutulony żal. Wziął go jak dziecko za rękę i wprowadził do gabinetu. Rozsunął kotarę niszzy. Ze szkarłatu ściany wykwitła wiotką linią kobiecych bioder czarująca amfora. Żyło wrzeźbione w jej czarne szklíwo różowobiałe, cudowne ciało greckiej dziewczyny. Żył czar uśmiechu i zagadka spuszczonej powiek; żyły w jej wązkich dłoniach róże pachnące wiosną i zapachem jej ciała.

— Kochaj teraz tylko twą amforę — rzekł przyjaźnie konsul do Tulliusa Cassiusa — twą białą Greczynkę na niej, której ci śmierć nie wydrze, przyjacielu. Powołana do życia może przez samego Fidyasza przetrwa wieki — i biała, smukła, olśniewająca żyć będzie wiecznie, Tulliusie Cassiusie... Kochaj twą amforę...

Kraków. 1911.

PIERWSZA SCHADZKA

Pani Julia jechała tramwajem wtulona w kąt przedziału pierwszej klasy i ślepa na wszystko, co działo się dokoła niej.

Wciąż ktoś wchodził, wychodził, i jak w kalejdoskopie zmieniały się sylwetki zmokłych na deszczu postaci, w pośpiechu szukających schronienia. Mówiono coś dokoła, śmiano się, witano, żegnano, i co chwila jakieś nowe, ciekawe oczy szacowały wartość wspaniałego futrzanego kołnierza pani Julii, solidność aksamitu jej obszernego, ciemnozielonego płaszcza ze skunksami, który prześlicznymi fałdami układał się do stóp wyszukanie obutych i przy każdym ruchu mienił się głębokim tonem malachitu.

Szeptano sobie dyskretne i mniej dyskretne przeróżnej treści uwagi i natrętnie zaglądano pod futrzany kołpak młodej kobiety.

Ręce jej bez rękawiczek wychylające się nerwowo z olbrzymiej skunksowej mufki były także bacznie obserwowane.

Ale pani Julia była dziś na wszystko ślepa i głucha. Pani Julia jechała na schadzkę.

Komicznem było to, że ona — dama — i to dama tak bardzo wytworna jechała na schadzkę właśnie tramwajem.

To nie było bynajmniej w „stylu“; ale po jej wyjściu z domu nagle zaczął padać deszcz, i pani Julia napróżno rozpaczliwie długo machała muską ku jakiemuś dorożkarzowi, który nie widząc sygnałów odjechał gdzieś w boczną uliczkę. Wobec tego pani Julia jechała tramwajem na schadzkę, na pierwszą w życiu schadzkę — pierwszą mimo to, że była dzieckiem wielkiego miast, damą świata, tak przecie pełnego pokus i niebezpiecznych sytuacji...

I w dodatku pani Julia była zaniedbywaną przez męża, małą i przemiałą kobietką, notabene, mającą tak zwane „szalone szczęście do mężczyzn“.

Poznała go wiosną na Capri.

Kwitły ogrody, migdałowe i białe pomarańczowe gaje. Na Marina Piccola barkarze cudnie śpiewali sobie, morzu z lapis lazuli i błękitnemu niebu dyszące szaleństwem bolera miłosne i piosenki rybackie, pełne cichego smutku, równie upajające, jak zapach kwitnących pomarańczy, jak senny, tajemniczy poszept morza.

Pani Julia często widziała go, gdy, schodząc po kamiennych stopniach w ostrym, słonecznym blasku, stawał nagle i trwał tak zawieszony wśród

nieba i skał w długiej zadumie. A potem zstępował nízko, tam, gdzie ostatnia burza wzniosła wał z kamieni i muszli i patrzył uważnie na lekko niespokojne, dyszące w słońcu morze. I pani Juli przesyconej niesmaczną pozą i sztuczną salonowych uwodzicieli podobała się ta chłodna, niema maska człowieka wówczas jej jeszcze obcego, który wiedział przecież, że z skały patrzy na niego dziwnemi oczyma kobieta grzejąca się, jak żmija, na piekącym słońcu południa, a jednak nie starał wydać się jej interesującym i przyciągnąć do siebie jej leniwych zmęczonych natężeniem światła źrenic.

Patrzyła często na proste, doskonałe linie jego postaci, na jego twarz brązową spokojną, obojętną o pełnych ukrytej zadumy, a trzeźwych oczach, na jego ruchy pewne siebie, jakby nawet roztrącające i zwycięskie... Myślała, że dobrze byłoby jej, małej lalczce iść pod rękę z takim mężczyzną znaną jej Vía Tibería i czuć się taką małą, ale ufną, bezpieczną i pewną...

A potem stanąć na tym występie straszliwej skały, z której Cezar rzucał w morze bladych z lęku niewolników i bez trwogi przytulił do męskiego ramienia patrzeć w szmaragdowo-błękitną otchłań —

— Bez trwogi —

W ciągu długich tygodni cieszyła się skrycie, nie widząc nigdy nieznanego w towa-

rzystwie kobiet, ale, gdy pewnego popołudnia na werandę willi, w której mieszkała, wprowadził go jej mąż, zmartwiła się. I nie wiedziała dlaczego...

Nazajutrz pani Julia wezwana telegraficznie wyjechała z mężem do kraju. I oto przed paru dniami, w swej łoży, na szkarłatnem tle portyer, w mroku zgaszonych podczas przedstawienia świateł, zobaczyła znów, jak rzeźbę z bronzu, jego twarz ciemną, spokojną i obojętną, o źrenicach trzeźwych, ale jakby pełnych ukrytej zadumy.

Na scenie biała Psyche szeptała w ekstazie:

Przez tę tęsknotę zaklinam cię moją,
i przez te kwiaty, których woń się wzmagą
i ciężkie słodkie kadzidła rozlewa,
między rokosznym szepem drżące drzewa,
przez strumień, co mi twoją bliskość wieści,
od łkań serdecznych zanosząc się w ciszy,
przez rozmodlonych wiatrów szepet namiętny
i przez te gwiazdy błogością pijane,
co sennie patrzą z głębin błękitu —
przez serce moje, które drży i pęka
z nadmiaru szczęścia — Panie łaknę płodu,
jak kwiat! Chcę skrzydeł! — przybądź — niech się stanie!

Usunęła się w głąb łoży twarzą obrócona ku niemu, drżąca, jak dziewczyna, przed pierwszym wyznaniem miłości. Pewnym, jakby zwycięskim gestem uwięził jej ręce w swych dłoniach chłodnych i spokojnych.

Na scenie tymczasem biała gęsta mgła spowijała przepiękną grupę skutych płomiennym uściskiem Erosa i Psyche...

.
.

W rezultacie pani Julia jechała na pierwszą w życiu schadzkę.

Było jej zimno. Owinęła się szczelniej w machitowy płaszcz i stała się jeszcze mniejszą w puchu futrzanego kołnierza.

Wyglądała jak dziewczynka, przebrana za damę. Cichutko siedziała w kącie przedziału dziwiąc się chaosowi jakichś ciemnych i męczących uczuć, splatom myśli tajemniczo i kusząco uśmiechniętych, albo złych i pośepnych.

Myślała, że za parę godzin wróci do tego samego domu swego, z którego wyszła niedawno — wróci inna, obca, choć będzie miała ten sam płaszcz aksamitny, te same szerokie, otwarte, duże oczy, te same maleńkie rączki, zaciskające się nerwowo w pachnącem, ciepłem wnętrzu olbrzymiej mufki.

Przejdzie przez ten sam biały salon z białą kolumną, dźwigającą jej biust marmurowy i w jasnym, elektrycznym świetle zobaczy w swym gabinecie to samo biurko podobne do cacka, przy którym dziś rano napisała parę decydujących słów...

I zobaczy człowieka, którego świat nazywa

jej mężem — tego sytego, otyłego pana, wydającego tyle jej własnych pieniędzy na kobiety...

Zamknęła oczy, starając się nie myśleć. Ktoś, kogo nie widziała, wszedł i, cicho zasunawszy drzwi, usiadł spokojnie naprzeciw pani Julii.

I w ciasnym przedziale tramwaju zaczęły pachnąć miło i słodko, dobre, dojrzałe jabłka — — —

Pani Julia otworzyła szeroko oczy i wzrok jej spotkał się z jasnymi, jak niebo wiosenne, oczyma staruszka księdza, siedzącego naprzeciw niej.

Nawpół przykryty czarną sutanną, stał na podłodze mały koszyczek, z którego z poza nieco przedartego płótna uśmiechały się czerwono-złote, śliczne jabłka.

Staruszek sam był różowy, uśmiechnięty, miły i pogodny i patrząc na niego, zdawało się, że musi on zawsze pachnąć tak miło jesiennymi, dojrzałymi jabłkami...

Miał dobre, łagodne, miękkie i delikatne usta, jakby stworzone do kojących słów przebaczenia. W niebieskich jego oczach był cichy czar słonecznej i spokojnej jesieni, co dziwnie kojarzyło się z wonią dojrzałego, złocistego owocu.

Pani Julia schowała twarz w pachnące futro muszki.

...Oto jesień — cudna, polska, dobra jesień, jak matka uśmiechnięta uśmiechem smutku naj-

głębszego, jak kochanka spojrzeniem łez pełnem, żegnająca czarownicą, umierającą miłość...

Duży, duży sad owocowy, sad purpurowy i złoty od dojrzałych jabłek...

Pachną tak miło, tak rozmarzająco złociste owoce... Między ciężkimi gałęziami, w bladym słońcu wrześniowem, snuje się pogodny, dobry, uśmiechnięty proboszcz i z zachwytem, z miłością ogląda przepych plonów jesiennych. Jego szczupłe ręce błogosławią złocistemu sadowi, sennym rżyskom dalekich pól i wsi cichej przeciętej szarawym lazurem wartkiej, głębokiej rzeki.

A mała, żywa laleczka, nadstawia fartuszek i rozkazuje:

— Proszę jabłek, dużo jabłek dla Julusi...

Łagodna twarz księdza promienieje najserdeczniejszym z uśmiechów, i oto w rozpostarty fartuszek dziewczynki sypią się jabłka złociste i różowe, śliczne, okrągłe, pachnące... Białą dróżką od dworu idzie babcia, wysoka, piękna pani, z siwymi puklami nad czołem zamyślonem, zawsze smutnie uśmiechnięta. Biegnie na jej spotkanie małeńka, sześcioletnia kobietka i chlubi się, cieszy, przesypuje radośnie pachnące jabłka — —

A w głębi sadu, w bladym słońcu jesiennem, na tle gałęzi, obwieszonych przepychem owocu, srebrzy się pochylona głowa proboszcza i jego miła twarz jaśnieje uśmiechem nieskończonej dobroci, cichych wyrzeczeń i wielkich przebaczeń...

Pachnie jesień polska, pachną czerwone, złote,
dojrzałe jabłka — —

Pani Julia utkwiała swe dziecięce, bure, pełne
łez oczy w pocziwej twarzy księdza. Serce jej
biło głośno i szybko.

Pomyślała :

— Jadę na schadzkę — —

Ciemny, bolesny rumieniec opłynął jej lekko
upudrowaną i pachnącą Sweet Peą twarz. Nie-
śmiało podniosła oczy na nieznanego staruszka.

Przyśniła się jej duszy znużonej jałowością
i pustką bezmyślnego życia jakaś złota monst-
ra w opalowych dymach kadzielnic wzniesiona
nad tłum oniemiały...

Jakiś zmrok pachnący różami i stary gawot,
grany kiedyś w dzieciństwie kochanemi rękami
babki na zesłowiecznym, długim fortepianie
i wonne krzewy jaśminu, których gałęzie widziane
w noc księżycową dziecięcemi oczami, chwiałały
się jak białe, wysmukłe, przyzywające ręce...

Przyśniły się jej wszystkie świętości dziecin-
stwa, wszystkie ukochania naiwne, dobre, czyste...

Spojrzała znów trwożnie na siwego księdza.
Wstawał już i ukloniwszy się z uśmiechem, za-
brał swój koszyczek i wysiadł.

Pani Julia uczyniła ruch, jak gdyby chciała
wysiąść za nim. Spuszczając bezsilnie oczy zo-
baczyła nagle pod ławką czerwono-złote jabłko.

Podniosła je błyskawicznie i schowała do muffki, tuląc w dłoniach jego kształt jędrny i chłodny.

Twarz jej na chwilę zmartwiała w tępej zadumie.

Jak senna patrzyła na rzadkie światła jakieś zamiejskiej ulicy, na posępne perspektywy pustych obszarów. Zdawało jej się, że słyszy krzyk kogoś zbłąkanego wśród ciemnej pustki, że ktoś woła trwożnie o pomoc, o światło — —

Pomyślała, że to jej własna dusza błąka się wśród bezdroży i jak dziecko, płacze — —

Tramwaj stanął na dużym moście i pani Julia bezwiednie wysiadła. Szła pustym mostem, tuląc wciąż w małych rączkach, dojrzałe, pachnące jabłko. Miała w zmaczonej duszy głęboki i dziecięco zabawny pewien żal, że nie powiedziała łagodnie i dobrotliwie uśmiechniętemu księdzu:

— Weź mnie ze sobą, staruszk, do twojej cichej, białej plebanii wiejskiej, gdzie jesienią sad cały złoci się tak cudnie, od wonnych owoców... Może mi wróci moja dziecięca, prosta dusza. Bo jest mi źle — Nikt mnie nie kocha... Nikogo nie Kocham... Jestem sama dla siebie zbyt cennym i bezużytecznym cackiem. — I — oto — nie Kochając, idę na schadzke — ja — cudza żona —

Pani Julia przystanęła i oparta o balustradę mostu — patrzyła tępo w czarną, lśniąca wodę, poplamioną rudem światłem rzadkich latarni.

I pani Julia nie poszła na schadzke.

NR. 14.

— Ej! Garçon! Szampaaaanskoje! Mum-
Mum! Pommery Sec! Veuve Cléquot Ponsardín!
Louis de Barry! Heidsieck Monopole! Carte Blan-
che! Tylko nie Asti Spumante!

W błękitnym od dymu „salonie“ pełnym ta-
nich złocen, wytartych czerwonych aksamitów, i pi-
janego wrzasku oficerów, huczał gruby, posępny
bas, młkl w huraganie kobiecych krzyków, w cha-
osie pieśni i dźwiękach fortepianu, w szalonym
wybuchu skrzypcowej skargi i znów drżał wście-
kłością i dziką uciechą:

— Ej! Garçon! Swołocz proklataja! Szam-
panskoje!

Różowa i ruda dziewczyna, w żółtym stroju
dżokieja, polewała winem pijackie, świecące twarze
oficerów i powtarzała z cichym, zmęczonym śmie-
chem nazwy szampana. W kącie sali ktoś szlochał
z głową opartą o nagie kolana drobnej, miniatur-
owej kobietki, przybranej w króciutką lila sukienkę
empire i ucharakteryzowanej na baby. Uśmie-
chała się dyskretnie i z zadumą, jedząc cukierki,

rozsypane na czerwonym, brudnym dywanie, zaplutej i pokrytej niedopałkami papierosów podłozie. Na środku sali paru eleganckich zdechłaków w smokigach tańczyło c a k e w a l k'a z jasnowłosemi dziewczętami w koronkowych pegnoirach, z których jedna miała słodką, dziecięcą twarz, świeżą jak wiosna, nie tkniętą jeszcze szminką ani wyuzdaniem i uśmiechniętą przeczystym uśmiechem Greuze'owskiego dziewczątka.

Przy fortepianie siedział gładko ogolony, błądy chłopak i miękko, pieściwie grał jakiegoś walca cichego i słodkiego jak tchnienie róż. Melodya była jakaś czysta, wiosenna, powiewna i śliczna, jak uśmiech jasnowłosej dziewczyny. Walc powolny i pełen wdzięku podobny był do Greuze'owskiego dziewczątka, tańczącego z czystem wejrzeniem dziecka c a k e w a l k'a. I dziewczątko to w koronkowym peniuarze, wysmukłe i delikatne, podobne było do melodyi walca...

— Hej muzyka! „Trójkę“ zagraj! Albo nie! Romans cygański! Cicho, cicho... Pianissimo... A ty śpiewaj, Tamara — prosił młody dragon, stając przed Tamarą.

Leżała prawie w głębokim fotelu cała w czarnym aksamicie, czarnowłosa i nieruchoma. Śniade ręce zasłaniały twarz, na którą opadły rozczochrane jedwabiste, pyszne pukle zagęstych, hebanowych włosów. Rozcięta prawie do bioder na bokach suknia, odsłoniła silne, wysmukłe nogi, w czerwo-

nych, długich pończochach — piękne, zwinne nogi wolnej dziewczyny z gór stworzone do biegania po łąkach pachnących, po zrębach groźnych skał, pod którymi w przepaściach huczą srebrne i błękitne, szalone źródła.

— Ej, Tamara...

Fortepian załkał cichym wtórem znanego cygańskiego romansu. Zamilkły pijackie wrzaski, zastygły jaskrawe grupy kobiet o zmęczonych, malowanych szminką i ohydą życia twarzach. Przyczaiły się słowa cuchnące i potworne, wyuzdane szepty i ciężkie oddechy żądz. Wszyscy z drżeniem czekali na tę chwilę słodką i męczącą, bolesną i nieskończenie rozkoszną — na chwilę śpiewu czarnej dziewczyny z Kaukazu. I oto w głuchej ciszy, zmąconej jękiem fortepianu, z za śniadych rąk leżącej na fotelu Tamary, wydarł się krzyk dźwięczny, straszny, wybuchający z umęczonego śmiertelnie serca, z duszy, skatowanej okrucieństwem losu:

Och! Gdzie wy łąki pachnące?

Gdzie źródła jasne, szumiące?

Gdzie groźne, posępne skały?

Dzieciństwa śnie słodki, biały?

Gdzie siostry młode i czyste

Gdzie ranki, zorzą perliste?

Och! Gdzie wy łąki pachnące?

Gdzie źródła jasne szumiące?

Och — — — — —

Śniade ręce Tamary spadły ciężko na czarny aksamit sukni. Zabielała straszna, zmięta nieopię-

sana tęsknotą twarz. Z pod czarnych, pysznych brwi strzeliły buntem i namiętnością dumne, groźne, przerażające w swem pięknie i w swej męce oczy dzikiej, górskiej dziewczyny. Z czerwonych ust grubych i namiętnych wybuchał krzyk pytania coraz straszniejszy, coraz ostrzej wbijający się w serca i wibrował szaleństwem, tęsknotą i rozpaczą w niebieskim od dymu, jarząco oświetlonym „salonie“, wśród ścian pełnych tanich złocen i bezwstydných malowideł. Przedzierał się przez pluszowe zasłony drzwi i tułał się po pustym korytarzu, wdzierał się do małych pokoików pełnych szeptów, jęków, śmiechu, przekleństw i bezmyślnych słów kłamanej, sprzedanej pieszczoty.

I Madame śpiew ten usłyszała. Uniosła się niespokojnie na swej ulubionej sofie, na której wśród stosu jaskrawych poduszek spały jej cztery czarne, lśniące koty. Ciężka, otyła, ginąca w fałdach jedwabnego szlafroka podpełzła pod drzwi i paląc papierosa, słuchała. Jej zimne bezbarwne oczy powoli zapalała i ożywiała wściekłość.

— Bydlę. Znow mi rozwali lustro i wystraszy panów. Cholera kaukaska — myślała przyklepiona do drzwi. — I znow nie będzie chciała pić, zamknie się u siebie i nie wpuści nikogo — rozważała boleśnie, a semicki profil jej nalanej twarzy zaostrzał się drapieżnie.

Nacisnęła guzik dzwonka elektrycznego i czekała, szarpiąc portyerę. Wszedł ktoś z szarą maską

nieruchomej twarzy, w której lśniło blado w wązkiej szparce powiek wybite oko. Chytry zwierzęcy pysk ożywiało chorym płomieniem drugie oko, wielkie, jakby wysadzone chorobą Basedowa o przekrwionem białku i czarnej, szerokiej źrenicy.

— Madame?

— Garçon niech zawoła tu numer trzeci.

— Numer trzeci śpiewa — odparł garçon, obciągając lokajski frak zarzucony tęczą konfetti.

— Ja nie poczebuję, żeby numer trzeci śpiewał. Ja chce temu bidłécui widzieć, tu w mojem appartement.

Madame zrobiła imponujący gest ręką o krótkich, grubych palcach, pokrytych pierścionkami.

Służący przymrużył zdrowe oko i szepnął pocieszająco:

— Madame... Szampiter byczo odchodzi... Wojska dziś pełno. Masza pułkownika Ignatiewa naciągnęła na siódmą Carte Blanche... Naturalnie Dalem to fałszywa, Madame...

Madame zatopila rękę w kieszeni i uśmiechnięta rzuciła kelnerowi rubla.

— Ale numer trzeci niech tu zaraz przyjdzie — dodała, zapadając w poduszki otomany. Pogłaskała koty, które budząc się pod miękką pieszczotą jej ręki, wyginały się lubieżnie, mruczac cicho. Patrzyła na nie oczyma silnie zmrużonemi i jej tłusta, biała ręka coraz szybciej i lubieżniej ślizgała się

po przęcającym się grzbiecie ulubieńca Bobby. I gdy nagle Bobby skoczył gębko na pierś swej pani i giętki, lśniący wydłużył się w fałdach szlafroka, Madame westchnęła głośno i jej leniwe, blade oczy stały się ohydne, żółte i wilgotne.

W tej samej chwili do pokoju wbiegła czarna dziewczyna z Kaukazu. Stała na tle czerwonej portyery — wyprężona, giętka, jak pantera i gotowa do skoku. Jej rozdarta na piersi suknia odsłaniała cudowny bronz nagiego, spalonego słońcem i wichrami torsu.

— Czego? — rzuciła ochrypłym, wściekłym szeptem.

Madame znów zatrzęsał atak gniewu.

— Niech mademoiselle Tamara nie wystrasza mi gości, bo będzie źle — mówiła, pieszcząc nerwowo kota. — Tu nie teatr, tu nie operetka. Tu śpiewać nie poлагajetsia smutnych pieśni. Tu solidny, spokojny salon Madame Veith. Tu trzeba być wesolą. — Ty, ty — bidłę — porwała się w histerycznym napadzie wściekłości. — Ty pójdziesz stąd precz... Ja cię na bruk wirując — —

Tamara czając się, zbliżała się cicho ku Madame — blada, straszna, groźna. Ręce jej zakrzywione i drżące przejęły Madame śmiertelnym strachem. Blednąc, uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Nu, spakojno, duszeczka. Wracaj do gości i nie dziw się twojej Madame. Madame jest dziś smutna i zdenerwowana... Dziś wilia...

u nas katolików — dodała z dumą. — Wilia... wielki dzień, a Madame sama... Mąż umarł... dzieci niema...

— Milcz! Nie łzyj! — krzyknęła dziewczyna i splunawszy z pogardą, znikła za czerwoną portyerą.

Madame nie zdołała ochłonąć, gdy wśliznął się cicho kelner. Z tajemniczym wyrazem swej wstrętnej i szarej maski zaczął:

— Madame... Numer czternasty bardzo płacze.

— Czternasty? — Ech! to ta nowa, ładna? Lucy?

— Cóż tam było, opowiedz. Może ją kto bije?

— Nie. Tylko już przed godziną przyszedł taki jeden... Szwajcar mówi, że stał przed bramą długo i wreszcie zaczął pytać o dziewczynę bardzo młodą z krótkimi, jasnymi włosami. Szwajcar zaprowadził go na górę (dostał aż dwa ruble, choć gość wygląda tylko na lepszego robotnika). A ona miała innego gościa. Tamten stał pod drzwiami, nie chciał iść do salonu i gryził usta, a blady był, jak trup. Gość wyszedł, a ta niby Lucy robiła toaletę. To on zapukał i zawołał: — Panno Antosiul! W pokoju zrobiło się cicho. On drugi raz zawołał, i ona otworzyła drzwi. Była jak nieżywa i trzęsła się, a łzy jej z oczu leciały... leciały... A tamten powiada: — Coś mam do opowiadania o Władku. — O Władku — jęknęła, aż się po korytarzu rozległo. Zaczęła bić głową w ścianę i jeszcze nie ubrana puściła faceta do pokoju.

Przez dziurkę w drzwiach widziałem, że siedzieli długo i nic nie gadali, blade, jak trupy. Potem on coś zaczął mówić o jej ojcu i siostrach, o jakichś tam głupstwach. Beczała i ciągle pytała o tego Władka. A on: — Powiem... Powiem... Jeszcze czas... A takie ma oczy, jak waryat... I ona strasznie płacze... Dlatego przyszedłem do Madame... Z tego może być skandal. A trudno gościa wyrzucić, bo ani luster ani panien nie bije, a szwajcarowi dał aż dwa ruble. Może to bojowiec, może bandyta? Czort go zna, Madame.

Madame była tą historią trochę znudzona i trochę zaniepokojona. Zapytała, dźwigając się ciężko z otomany:

— Nu, a salon pije?

— Ojoj! Znów poszło pięć szampana!

— Bogu dzięki. Masz tu rubla, Paweł.

Zwinnym, małpim ruchem schwycił dużą srebrną monetę i wpatrzył się w Madame bezczelnie swem jednym, potwornem okiem.

— A zawołaj Moryca i bądzcie na korytarzu. Na wszelki wypadek — dodała z powagą.

Gdy Paweł wypadł, wysunęła się cicho na korytarz, jasno oświetlony gazem, wysłany brudnym, żółtym chodnikiem, ciasny i duszny. Przed drzwiami wielkiego „salonu“ zatrzymała się z uśmiechem. „Salon“ wrzał muzyką, śpiewem i pijanym wrzaskiem orgii.

— Es geht — pomyślała i wsłuchiwała się w mowę

małych pokoików, na których drzwiach wisiały tabliczki z numerami. (W zakładzie Madame Veith każda kobieta miała swój numer, i z tego Madame była dumna).

Patrząc na te drzwi, Madame szukała czternastego numeru. Mijała pokoje pełne ciszy i pełne wrzasku, śmiechu, pisku, lub szeptu. W jednym z nich męski głos mówił z patosem:

— Smukłouda kapłanko Astarte! Oto już odchodzę. Odchodzę ku kobiecie czystej i wzniosłej, która mnie ucześnie preludjum Chopina granem o zmierzchu w salonie, pełnym woni tuberoz. Będę z nią tkliwie gadał o kwiatkach i nocach księżycowych, o poezyi Maeterlincka i udanym wypieku świątecznych ciast... A za dni kilka znów do ciebie spłynę w cieniach nocy, o ile nie będziesz w szpitalu. *Vale, virgo intacta.*

Z za innych drzwi wydierał się jęk skargi:

— Psia krew... Podłe życie! Obiecują akşamity, frykasy, salony i spanie choć od rana do nocy... A tu długi, bo ta stara mała zdziera z nas skórę, i długi! Całą noc pij, śmiej się tańcz, a myślisz, że choć w dzień jest wytchnienie? Już po południu nazłazi się facetów i znów niewyspane ślepie wywracaj i zęby szczerz... A za tę suknię niebieską to zdarła, świnią, ze mnie trzydzieści fajgli... Bodaj jej moja krzywda gardłem wylazła!

— Daj jeszcze blata na perfumy...

— Niech mi pan o wili nie gada, bo jak zacznę wyć...

— Miałam małego braciszka i co rok ubierałam mu choinkę... Śnieg za oknami padał, padał... A on cieszył się i śmiał... Jaś się nazywał, psia krew!

Madame przyczołgała się do drzwi, na których lśnił numer czternasty. Nadsłuchując, zamarła w bezruchu. Za drzwiami ktoś płakał. Padały słowa przerywane szlochem.

— Śmierć chciałam sobie zrobić... Poleciałam nad Wisłę... Zimno było, wiatr dał... Czarna noc, tylko wysoko się świeci miasto... Warszawa kochana... Przypomniiał mi się maj, i majowe nabożeństwo, i jaśminy, bzy, w kaplicy Matki Boskiej... Przypomniiał mi się jeden wieczór z Władkiem... co to była burza... Gorący wieczór... I nie chciało mi się wierzyć, że po takim kochaniu, po tem naszym strasznem kochaniu on mnie mógł odpędzić od siebie, jak sukę... Pomyślałam, że ma inszą, i chciało mi się go majchrem pod żebro, podłeca... I latałam jak szalona nad rzeką, aż tu przyszedł jakiś czarny, grzeczny i pyta niby, co i jak... Pyta i pociesza, a prowadzi gdzieś, prowadzi... Przyprowadził... Z rozpaczyny zostałam. — Naści Władek, kochanice, — śpiewałam całą noc i upiłam się...

— Żle panna Antosia zrobiła...

— Co inszego było do zrobienia? Ojciec

z domu przepędził, że niby przez ślubu... ten odpędził od siebie, jak psa... Jezus Marya...

— To ojciec naprawdę nie żyje? — wybuchł krzyk rozpaczliwy.

— Pytał o pannę Antosię. A jak powiedzieli, że niewiadomo gdzie panna jest, obrócił się twarzą do ściany i płakał cicho. Tak umarł.

— Jezus... Jezus — Jezus — — —

Madame wzruszyła ramionami i słuchała dalej.

— No a teraz niech pan prędko gada o nim... O Władku — zaszemrał niespokojny, szalony szept.

Ktoś otworzył drzwi od salonu i na pusty korytarz buchnął wściekły gwar. Smukła jasnowłosa dziewczyna, podobna do wiosny i kwiatu w swym przejrzystym negliżu z batystów i koronek wionęła do swego pokoju, a za nią blady dandys z monoklem i tuberozą w klapie smokinga.

Madame usłyszała ponowny, bezprzytomny, nakazujący szept:

— Niech pan gada...

Po chwili ciszy jęknął ktoś głucho:

— Ciężko, panno Antosiu...

— Gadał pan! — mruknął ochrypliwy głos.

— Ano... chyba panna Antosia wie, że w bojówce był... Zakatrupił z inszemi dość stójkowych. I bez to on chciał się od panny odczepić, żeby wolne ręce mieć... Będzie z miesiąć temu, jak zastrzelił takiego grubego, psiakrew, podlega żandarma...

— I co, gadaj pan Józef — — —

— Złapali — padały ciężko i strasznie słowa.

— I co? — zadygotał przerażający szept.

— I dziś... W samą wilię... Dziś wieszają.

— Jezus! Jezus! Jezus! — zawył ochryply głos i ktoś ciężko runął na podłogę. Nagle drzwi pchnięte gwałtownie rozwarły się szeroko, i na progu pokoiku stanęła drobna dziewczyna w różowej, zmiętej koszuli. Jak w chwili konania miała szeroko otwarte usta tłuste od karminu i nieprzytomne, dzikie, straszne oczy. Nie patrząc na Madame pobiegła cicho małemi stopami w czerwonych pończochach ku drzwiom, wiodącym do „salonu“, przystanęła, zakręciła się jak obłąkana, przypadła na chwilę do innych drzwi i w osłupieniu, wyjąc głucho, wróciła chwiejnie do swego pokoiku. Madame zobaczyła w różowym świetle nocnej lampy siedzącego na otomanie mężczyznę w czapce, głęboko nasuniętej na błądą, posępną twarz. Przyczaiwszy się za zatrzaśniętymi drzwiami, usłyszała głuchy, ochryply szept:

— Panie Józef — — —

— Co?

— A daleko do świtu?

— Nnnie...

— Modlić się będziem za jego duszę — zawył znów wściekłością i rozpaczą cienki kobiecy głos.

I po chwili twardo, ochryple zadrgał szept:

— Ojcie nasz... któryś jest w niebie... —

W tę czarną, głuchą noc rodził się Chrystus.
I w tę czarną, głuchą noc na stokach cytadeli
wieszano Człowieka.

Drobna dziewczyna w różowej, zmiętej ko-
szuli, tarzając się jasną głową po skopanem łożku,
ustami, na których zakrzepł krwawym stygma-
tem hańby karmin, szeptała prędko, nieprzy-
tomnie, strasznie:

— Ojcie nasz... któryś jest w niebie — —

W tę czarną, głuchą noc urodził się Chrystus.

O świcie Paweł zbudził Madame.

— Madame... Numer czternasty — zaczął
jakoś uroczyście, mrugając swem potwornem,
krwawem okiem i mnąc nerwowo brudną ser-
wetkę.

Madame uniosła się ciężko ze stosu brudnych
poduszek i spocona, obrzękła wlepiła w kelnera
swe zimne, zaokrąglone przestrachem oczy.

— Nu, gadał, gadał — zaszepotała trwożnie,
widząc już w wyobraźni policyę, protokoły, zbie-
gowisko motłochu, żadnego skandalu. Zadrzała
i wysuwając z pod brudnej, atlasowej kołdry
grube, nagie stopy, krzyknęła cienko dławiąc
się:

— Gadaj!

— Numer czternasty otruł się, Madame —
zakomunikował Paweł prawie tryumfalnie.

Madame wytrzeszczyła na niego swe bezbarwne źrenice. Usiłowała połknąć ślinę sączącą się z jej bladych, obwisłych ust. Nagle zamrugała szybko żółtymi powiekami i zrozumiała. Bełkocząc coś, zsunęła się ciężko z łóżka i okryta kołdrą rzuciła się niezgrabnie, z wysiłkiem ku drzwiom. Szybko minęła korytarz i pchnęła drzwi, oznaczone numerem czternastym.

W pokoiku było szaro od wczesnego brzasku. Różowa lampa gasła, i w tem dziwnym świetle bladym i chorem, nieśmiałym i skradającym się strasznie i rzeczywiście białym na tle czerwonej, atlasowej kołdry, drobny trup Antosi. Różowa, podarta w męce agonii na strzępy koszula, osłaniała tylko jej biodra, a cały tors, prawie jeszcze dziecięcy, wątyły i prześliczny, jaśniał śmiertelną nagością. Z płowych, gęstych kędziorów majaczył delikatny profil twarzy, zohydzony i zmieniony męczarnią o ustach konwulsyjnie ściągniętych na białym szkliwie zębów. Blade, martwe oko na pół przesłonięte jedwabnym pasmem włosów, patrzyło wprost w okno modre od świtu.

Madame spojrzała na czerwony atlas kołdry, poplamiony śliną samobójczyni i pomyślała, że przed dwoma dniami zapłaciła za kołdrę tę aż

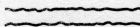
dwadzieścia pięć rubli. Z bezbrzeżną wzdargą
i nienawiścią obrzuciła wzrokiem śliczne, jasne
loki trupa i biały tors i, spluwając, szepnęła
z wściekłością:

— Bydlę.

— — — — —
— — — — —

Za oknem szarzał wczesny, modry świt — —

Warszawa 1911.



dwadzieścia pięć rubli. Z bezbrzeżną wiarą
i nieważnością otrucia wrokiem słone, jasne
loki truga i białe tory i spluwając, szepczą
z wściekłością:

— Bydło.

— Na oknem szarzał wczesny, mody świt —

Warszawa 1911.

W GABINECIE
REDAKTORA

Redaktor Łącki prawie ze wstrętem odrzucił rękopis przed chwilą przejrzaną noweli. Z irytacją wzruszył ramionami, przesunął ręką po swych pięknych, białych włosach i bezwiednie a gniewnie zawadził znów wzrokiem o karty pokryte dziwnem, misternem pismem.

— Skandaliczne! — pomyślał, czytając parę równych linii.

...Wydała mu się posągami z marmuru wykutym ręką Greka. Pomyślał, że powinna stać na postumencie oplecionym różami, jako Wiosna, Młodość, Życie, czy Miłość i tą swoją nagością przecudną powinna głosić światu radosną wieść o odrodzeniu Piękna i Dobra“...

— Kult ciała — mruknął ironicznie przez zęby, zapalając drogie cygaro. Mimowoli przerzucił kartę.

...,Z grubych, jasnych splotów wyłaniała się jej twarz blada, tą upajającą cudowną bladością, którą rodzi namiętność. Zamknięte powieki, drżące i prawie brunatne, czarne, wydłużone, brwi na-

pięte szaleń i żądzą, szeroko rozwarte i ciężko dyszące nozdrza, usta czerwone jak krew i oczekujące ze strachem i męką rozkosznej tęsknoty na mający się spełnić cud — — —“.

— Niemoralne! Wstrętne! — oburzał się redaktor Łacki. — I to pisała kobieta... Napewno kobieta młoda... Ach! to dzisiejsze pokolenie... Nerwy... Histeria... Wyobrażenia hetery aleksandryjskiej... I te wieczne hymny na cześć cielesnych rozkoszy... Coś jak krzyk nimf na łąkach pełnych faunów — wysilił się na poezję porównania piękny jeszcze, ale już sześćdziesiątką zaokrąglony i osrebrzony redaktor.

...„Kocham Cię, bo jesteś cudna, jak wiosna, jak życie, jak żywioł, jak morze... Cudna, dziwna tajemnicza i straszna, jak Namietność i Śmierć“...

— Namietność — uśmiechnął się pobłaźliwie Łacki i nagle bezwiednie rozejrzał się po swym wytwornym gabinecie utrzymanym w dyskretnym i poważnym tonie ciemnej zieleni.

Podszedł do otwartego okna, przez które wiały odurzające zapachy ogrodu. Popatrzył nisko w dół i w ciepłym złocie gasnącego dnia zobaczył buchającą wonią szaleństwa i młodości gęstwinę kwitnących bzów, otchłań bladoliściową kuszący labirynt pachnących alei wiodący ku marzeniu i rozkoszy. Coś zaszepotało, zatrzepotało na dnie duszy oduczonej od słodkiego czadu młodych szalonych porywów i przez chwilę zda-

wało się, że siwa wyniosła i dumna głowa przytuli się miłośniczo do wonnych kłosek.

Ale redaktor Łacki zaczerwienił się, chrząknął i, zapomniawszy zamknąć okno, usiadł z godnością przy swem wspaniałem imponującym biurku. Rękopis „bezeceń“ noweli nakrył jakimś tomem encyklopedyi i w obłoku pachnącego dymu, rozmyślał, jakimi słowami spiorunuje niepoprawnego referenta felietonu. „Smarkacz“ ośmielił się polecić mu gorąco nowelę „Szalona pieśń“, tej jakiejs tam młodej autorki, nowelę tak niemożliwą, tak rewolucyjną...

— T a k a nowela w m o j e m piśmie — uśmiechnął się do siebie Łacki.

I nie mógł sobie wyobrazić na szpaltach szanownego, konserwatywnego pisma takiego zgoła dzikiego tytułu,

„Szalona pieśń“...

Nagle redaktor przestał palić cygaro. Do drzwi ktoś pukał delikatnie ale mocno i pewnie. Łacki niecierpliwie poprawił okulary poprawne w złoto, spojrział na zegarek i mruknął niechętnie:

— Proszę.

Coś zajaśniało, zapachniało, zatrzepotało się w solidnym, uroczystym gabinecie redaktora. Zajaśniała blada, młoda twarz kobieca, zapachniały jasne, grube kędziory, opadające z pod czarnego kapelusza na nagą, opaloną szyję, zatrzepotały

Isniące długie rzęsy nad dużemi oczyma, które były śliczne, jak morze, młode, zuchwałe i nasyczone płomieniem.

Młoda kobieta trzymała w nagiej, opalanej ręce długą, cudownie piękną gałąź bzu. Lekkim wykwintnym krokiem zbliżyła się do biurka. Redaktor poważnie oddał jej ukłon, wskazał miejsce na miękkim fotelu i odwrócił oczy, bo powiała ku niemu z jej dziewiczych strzelistych linii, z pięknej opalonej szyi, ze śmiałych i mądrych oczu, z niesfornych rudawych loków jakas tęga woń młodości, siły, wiosny.

Pozornie obojętnie, mruknął stereotypowe:

— Czem mogę służyć?

Kobieta, tonąc oczyma w błędnym błękit nieba ujętego w ramę otwartego okna, milczała. Jej delikatne, śniade ręce pieściły leżącą na kolanach kiść bzu. Wreszcie budząc się jakby z zadumy, powiedziała cicho głosem z aksamitu i srebra.

— Prosiłabym pana redaktora o informację w kwestyi mej noweli.

Redaktor bystro obrzucił wzrokiem bladą twarz kobiety, jej młode namiętne usta i wycedził prawie z ironią:

— „Szalona pieśń“?

Kobieta uśmiechnęła się miłośnie i usta jej zapłonęły żywym ogniem. W zuchwałych jasnych jak morze oczach błysnął świetny tajemniczy żar

ducha rozkochanego w orlím locie swych młodych siłnych skrzydeł. Cała twarz nieco nieregularna i dziwna wionęła uduchowieniem, tylko usta lśniące białością nie przestawały w niemym śmiechu śpiewać hymnu na cześć krwi i ciała. Szepnęła prawie z wysiłkiem:

— „Szalona pieśń“...

Redaktor Łącki zaczął bębnić palcami po biurku. Nie patrzył na kobietę, a widział wciąż zagadkę jej oczu i uśmiechu. Z oficjalnie uroczystą powagą zaczął:

— Niestety... Za śmiała... Za rewolucyjna... Styl... hm... styl piękny, ale tendencja... Pani wie, że twórczość powinna budzić do czynu, krzawić wzniosłe idee, podsycać uczucia obywatelskie — deklamował, czując niejasno jak fałszywie na tle konającego, wiosennego dnia i szalonej woni bzów brzmią napuszone frazesy. — I ten zgoła niemoralny kult ciała... Kult zgubnych namiętności — —

Nagle urwał. W jego oczy nieco już wyblakłe wpisa się para źrenic zuchwałych, lśniących jak stal damasceńska i badawczych. I do samego serca dotarło pytanie:

— Czy pan redaktor nigdy nie był młodym? Nigdy?

Poruszył się niespokojnie na wspaniałym fotelu i chrząknął. A ona mówiła, patrząc w błady płat nieba i pieszcząc gałąź bzu:

— A przecie przed laty pan redaktor tworzył także swe „Szalone pieśni“... A, „Słoneczny sen“? A „Pieśni o tobie“? A „Dzwony“? A „Sny potęgi“?

I w pachnącą ciszę przedwieczoru padły strofy z samego serca przed laty wydarte, cudne, młodzińcze, rozwiane wszystkimi szkarłatnymi tęsknotami, tętniące wszystkim szaleństwem snów, porywów, namiętności:

„...Z krainy snu, z Marzenia stron — Szkarłatny serca bije dzwon — I bucha zeń młodości śpiew — i krzyk tryumfu, męki krew“ — —

— I bucha zeń młodości śpiew — zadrżało cicho dalekie, błękitne wspomnienie. Zawirowała tęcza umarłych lat, zaszumiały znów skrzydła młodzieńczych uniesień... „Szkarłatny serca zabił dzwon“.

— Niech pani mówi jeszcze — zaszeptał zdławiony, jakby cudzy głos.

.

W modrym, gęstym zmierzchu, tajemniczo bieleła twarz młodej autorki. Z ust jej padały słowa dyszące słońcem, młodością i wiosną.

— Śmiały się te fragmenty duszy i zmysłów, bo wydarte są, panie redaktorze, młodemu śmiałemu życiu, wiosnie lat szkarłatnych od płomienia, radości i upojenia. Śpiewają szaloną pieśń na cześć pięknego ciała i orleń pięknej duszy na cześć natury, zmysłów i rozkoszy, bo cóż jest piękniej-

szego w życiu nad rozkosz mądrego, pełnego istnienia? Stawiają ołtarze namiętności, bo czyż nie namiętność tworzy arcydzieła, napina wszystkie struny ducha i gra na nich boską, nieśmiertelną pieśń piękna... Czyż nie z uścisku kobiety, z płomienia jej ust, z mgły jej spojrzenia, z drżeń jej duszy i białych marmurów jej ciała, powstały najpiękniejsze poematy świata, najpotężniejsze arcytwory geniuszu?

Powiał lekki wieczorny wiatr i do gabinetu pełnego błękitnych cieni buchnął słodki, czarujący zapach kwitnącego ogrodu. Owiane tym zapachem jak mgłą marzenia dźwięczały śliczne słowa:

— Bo my kochamy tęgą, mocną woń życia i nie wstydzimy się gorącego dreszczu krwi, pożaru namiętności, odmetu szaleństwa, odwiecznych praw ciała uszlachetnionego dostojenstwem i bogactwem ducha...

Redaktor Łącki przymknął powieki. Jak w kinematografie zobaczył swą wystygłą dawno z miłosnych uniesień małżeńską sypialnię, chudą, wysoką damę, noszącą z godnością jego nazwisko — damę o siwiejących włosach i ostrym profilu... Dorosłe córki znudzone panieństwem, anemiczne, dobrze wychowane, czytające w świetle „familiijnej“ lampy „moralne“ książki, synów kończących uniwersytet, podobnych do matki, sztywnych, marzących o karierze i obcych pięknym, dumnym porywom młodości. Na stole wielkiej jadalni

ujrzał swoje „Słowo“... W felietonie „Szalona pieśń“... Usłyszał krzyki oburzenia, syk zgorzelenia... „Takí poważny dzienník... Takie bezceństwa“... — —

Śliczny kobiecey głos mówił:

— My, panie redaktorze, kochamy Życie, Młodość, Wiosnę...

— Bo ty sama jesteś Młodością, Życiem, Wiosną — chciał wybuchnąć Łącki.

Odważnie spojrział w mądre, zuchwałe i śliczne oczy kobiety. Utonął w nich jak w morzu i zrozumiał ich tajemniczą, cudowną głębię. W oczach tych była dusza. A potem zsunął się wzrokiem po niedomkniętych ustach, po opalonej szyi i pięknych silnych ramionach i nagle przypomniał sobie fragment z „bezcnej“ noweli:

...,Wydała mu się posągíem wykutym ręką Greka. Pomyślał, że powinna stać na postumencie oplecionym różami“...

Westchnął głęboko i zwrócił głowę ku oknu, za którem pachniał bzami siny zmierzch i szmerło niespokojnie miasto. Serce mu dęło z rozkoszy i cierpiało z niedoznanego dotąd bólu.

Nagle usłyszał szmer kroków i głos miękki, podobny czarem do głosu skrzypiec:

— Więc proszę o rękopis.

Redaktor Łącki jednym ruchem ręki zalał falą elektrycznego światła gabínet i zadzwonił na woźnego.

— Jutrzejszy felieton — powiedział krótko, oddając służącemu biały zwitek zapisany dziwnem misternem pismem. — Natychmiast do drukarni.

Zdumione, prześliczne oczy uśmiechnęły się do niego z wdzięcznością. Głębkie młode ciało wygięło się zwyczajsko i dumnie, zatrząsły się na śniadej szyi niesforne, grube loki. Przez dziwny czar uśmiechu zaszemrała:

— Dziękuję.

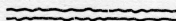
Z cichym szelestem sukni blada kobieta wyszła z gabinetu redaktora.

.

Redaktor Łącki długo, długo stał w otwartym oknie, w smudze szalonej woni wiosennego wieczoru. Gdy ciężko obrócił się ku biurku, zobaczył pozostawioną gałąź bzu. Wziął ją delikatnie do ręki i uśmiechnął się śmiertelnie smutnym uśmiechem starca.

Powrócił do okna. I patrząc w siny mrok pachnącego ogrodu, redaktor Łącki pomyślał z wewnętrznym szlochem, z szaloną rozpaczliwą tęsknotą:

— Była tu Młodość... Wiosna... Życie...



— Jutrzejszy liston — powiedział krótko,
oddając sługęcego dlań zwitek zapisany dźwię-
nem misternym piśmem. — Natychmiast do dru-
karni.

Zdumione, przesłiznięte oraz uśmiechnęły się
do niego z wdzięcznością. Głębokie młode ciało
wygięło się zwycięsko i dumnie, zatrząsnęło się
na śniadej szyi niesłowne, grube łań. Przez
dźwięk czar uśmiechu zaszemtała:

— Dziękuję.
Z ciehyń szelstem sukni biała kobieta wy-
szła z gabinetu redaktora.

Redaktor Łącki długo, długo stał w otwar-
tem oknie, w smutnej szalonej woni wiosennego
wieczora. Gdy ciężko obrócił się ku biurku, zo-
baczył pozostawioną gałąź dr. Wziął ją delika-
tnie do ręki i uśmiechnął się śmiertelnie smut-
nym uśmiechem starca.

Powrócił do okna. I patrząc w siny mrok
pachnącego ogrodu, redaktor Łącki pomyślał
z wewnętrzny szlochem, z szaloną rozpaczliwą
tęsknotą:

— Była tu Młodość... Wiosna... Życie...

MIASTO

Głodna jestem... Głodna...

Chryste! Matko! Ojcze! Głodna jestem — —

Jestem dobrze zbudowaną, dwudziestoletnią dziewczyną. Podobno mam typ Giorgione'owski. Leniwe, blade oczy w twarzy owalnej, mocno czerwone, duże usta, cienki, rasowy nos i wspaniale wygięte, ciemne brwi. Do tego jestem oczywiście blondyną i mam drobne nogi i ręce.

Jestem sama w tem wielkiem, nienawistnem mieście, w którem nie znam nikogo i nigdzie nie mogę znaleźć pracy. Od dwóch dni zjadłam tylko jedną bułkę... Dzisiaj nie mam gdzie spać... Staruszka, która mi za trochę pieniędzy odstąpiła miejsce w swym zimnym pokoiku, umarła. Przyszli jacyś ludzie, i ja zostałam na bruku.

Włóczę się po ulicach, drżąc z zimna i wstępuję co chwila do bram, by oprzeć się o ścianę i płakać.

Snują się za mną mężczyźni ze wszystkich sfer, ci którzy wieczorami polują na tanią „miłość“. Ci inni, wykwintniejsi, patrzą głęboko

w moje zapadłe, nieprzytomnie lśniące oczy, na me usta w męce głodu pogryzione do krwi i może widzą nad moją głową żałobny, tragiczny cień nieszczęścia, bo niekiedy oglądają się w milczeniu i idą dalej, wolniej tylko, z zadumą.

A mnie jeść, jeść chce się, ludzie...

— — — — —

Przychodzą momenta, gdy mi w oczach purpurowo a w ustach słono od krwi. Muszę pażnogieć wpijać w ciało, by pohamować pewną wściekłą chęć.

Chciałabym szarpać suknię na piersiach i pażnąć w te płonące elektrycznością, śmiejące się ulice, krzyczeć, krzyczeć strasznie — dziko — nieprzytomnie jakimś zwierzęcym rykiem bez słów, krzyczeć tak, by mi krew czerwona chlustała z ust...

Chciałabym wrzyczeć w to obce, nienawistne, huczące miasto straszliwą prawdę, że nie mam domu, że nie mam serca blizkiego, że tułać się muszę samotnie wśród tłumów spieszących na koncerta, do teatrów i kawiarni...

Ach, i jeszcze jedno — —

Chciałabym zapomnieć, że jest dla mnie środek pewien do zdobycia gorącej kolacyi i ciepłego łóżka — — —

Chciałabym zapomnieć... ale oto znów przeszedł mężczyzna w cylindrze... przeszedł, wrócił

się i powiedział mi wzrokiem, że — mogłabym mieć gorącą kolację i wygodne, białe łóżko — —

I znów przeszedł jakiś artysta z czarnemi puklami włosów u bladych skroni. Jego zgaszone smutkiem źrenice powiedziały mi znów, że jestem Giorgione'owską blondyną, że mam młode ciało o barwie pereł, róż wiosennych, marmuru i zorzy, że mam usta do szafu stworzone, że pachnę kwiatami, młodością i wiosną — — —

Cha! cha! cha! A ja głodna, głodna jestem, artysto — — —

Węc nie nakarmisz mnie ty potworne, huczące, bijące w czern nocy złotą łuną miasto?

Cudne są białe kolumnady twych teatrów, muzeów, renesansowe frontony twych pałaców, barokowe cacka twych willi ku rozkoszy oczu wśród kwietnych ogrodów tonących — —

Huczne, rozszalałe muzyką i wytworne są twe kawiarnie, twe nocne, tajemnic i śmiechu pełne lokale, gdzie łkają skrzypce i śmieją się upajająco piękne, strojne kobiety — — —

I wesołeś, wesołe, o miasto, tylko złe, podłe... Boś ślepe na łzy głodnych, głuche na jęki bezdomnych — —

O miasto... Ty chcesz... Ty chcesz... Ja wiem, czego chcesz ty, potworne, huczące, złe, buchające milionami świateł miasto...

Ja wiem — — —

— — — — —
— — — — —
Wtulona w kąt ciemnej sieni obserwowałam ją. Widziałam jak za lśniąca szybą karety zabielała jej twarz, a potem ręka ze zsuniętą rękawiczką. Lokaj otworzył drzwiczki i z karety, obitej wewnątrz bładozielonym pluszem wysiadła ona.

Tak ... tak... Kosztowny futrzany żakiet... naturalnie... Kapelusz niby skromny, a bijący w oczy ceną przynajmniej dwóch setek rubli, i — ten kołnierz z niebieskich lisów — —

Na rany Chrystusa! Za ten kołnierz tysiąc nędzarzy miałoby teraz, w ten zimowy wieczór ciepły kąt i pełne misy gorących, dymiących potraw — za jeden kołnierz ujmujący tę twarz kobiecą w tak kosztowne, „solidne“ ramy — —

— Ukradnę go — postanowiłam błyskawicznie i, tuląc się do ścian, pełzałam za damą dążącą do wielkiego sklepu. —

— Kołnierze takie zapinają się pod szyją na łańcuszek zakończony haftką — rozumowałam. — Obok jest brama przechodnia: szarpnę i ucieknę nim się spostrzeże. Sprzedam go w jakiejś odległej dzielnicy, jutro wyjadę... A dziś... Ach! dziś zjem dwa talerze mięsa, napiję się wina kupię sobie czystą, białą bieliznę, wykąpię się i czysta, syta, będę spać gdzieś pod prawdziwą,

ciepłą kołdrą na świeżo powleczonej pościeli — marzyłam bezkrytycznie, dziecięco.

Już mi nie było zimno. Stałam pod oknami wystawy i patrzyłam w głąb sklepu na damę z karety.

Leżały przed nią stosy jedwabiu i cienkich chińskich gaz kolorowych, lekkich, jak motyle złocistych, i o bladych połyskach srebra, a ona nagię, białe ręce zatapiała w szumiących i przelewających się tęczą zwojach i na jej wyniosłych, szkarłatnych ustach drgał uśmiech prawie lubieżny. Lubieżnem było także każde dotknięcie jej subtelnych, cienkich palców osuwających się jakby z drżeniem i pieszczotą w kolorowe, lśniące stosy materii.

— Śmiej się, śmiej — chichotałam po cichu. A ja nic... tylko skoczę, podpełzną jak żmija i szarpnę — —

— Będziesz łamać białe, rasowe rączki i jęczeć:

— Och gdzie mój kołnierz, mój kołnierz precudny... Ale nie — prawda, tyś za wytworna na to, by jęczeć, skarżyć się i biadać. Ty, patrząc zimno w bok i zapinając spokojnie rękawiczkę, powiesz lokajowi obojętnie: — Janie, Michale, albo Józefie — dajcie znać komu trzeba, że ukradziono mi kołnierz futrzany. — I nagle przypominasz sobie, że w ciemnej bramie stała jakaś kobieta w czarnej sukni, kobieta z twarzą tak strasznie, strasznie bladą i przerażająco lśnięciami oczyma.

— To ona — pomyślisz — i będziesz opowiadać policyi, że kobieta ta miała dziwnie bladą twarz... nieprzytomne oczy, że słała się, jak chora, albo pijana... Ale ja już wówczas będę daleko, o pani w kołnierzu z niebieskich, tak kosztownych lisów — — —

Ona już wychodzi.

Staję tak blisko, aby, zstępując ze stopnia na ulicę, musiała otrzeć się o mnie.

— Pani wybaczy — zaczynam z jakimś niepowstrzymanym uśmiechem. — Chciałabym powiedzieć... tak... powiedzieć z panią — —

Z pod ronda futrzanego kapelusza spojrzę na mnie ciemne oczy (Boże, gdzie ja te oczy widziałam?.. Jakis portret Van Dyck'a czy Leonarda — czy nie Ritratto d'incognita?) — oczy doskonale piękne i doskonale obojętne. Z pewnem wahaniem ręka w ciasnej, duńskiej rękawiczce sięgnęła do wytwornej torebki okutej w srebro i, dobywszy z niej rubla, wyciągnęła się ku mnie z pewnym chłodnym wdziękiem dystygowanego onieśmienia.

— Nie pani, nie chcę rubla, ani nawet pięciu rubli. Nie chcę jałmużny — —

Wzruszające podniesienie ramion i obrót ku mnie, idącej z tyłu, profilu szczupłej twarzy, w której jest zdziwione pytanie.

— Ja, proszę pani, nie jestem żebraczką — jestem człowiekiem zabitym przez los. Nie upi-

łam się i mam zdrowe, normalne zmysły. Niechaj pani nie ogląda się za policyą... Nic pani nie zrobię... Nawet nie ukradnę pani tego przepysznego kołnierza z błękitnych lísów, choć za jego cenę możnaby przecie nakarmić i ogrzać całe przedmieścia brudnych ludzi, na których jaśnie oświecone oczy pani patrzą zapewne tylko przez szyby tej bladozielonym pluszem wybitej karety i tylko z niewymownym wstrętem... Jak to dobrze, że lśniący liberyą lokaj pani idzie od nas w tak przyzwoitej odległości, — bo pani ma minę, jak gdyby chciała mnie oddalić przemocą — — a jestem może równie „dobrze wychowana“, jak pani, i gwałtów nie lubię.

— Mam do pani jedną tylko prośbę: proszę zabrać mnie do swej karety i posłuchać co pani opowiem... Pani zna tu przecie tylu ludzi, którzy wiele mogą... jeden adres, a dostanę pracę... W biurach pośrednictwa nic znaleźć nie mogłam, zresztą mam podobno powierzchowność nie wzbudzającą zaufania... Twardy kark, brak psiej pokory ludzi żebrzących o pracę, w nieprzytomnych oczach wściekły krzyk głodu... Przytem ta uroda — — Panie pragną mieć nauczycielki brzydkie zazwyczaj i uległe uległością zbitych zwierząt — — a ja — nigdy nie nosiłam obroży — i taką hardą mam twarz, pani, — słusznie — nie podobam się — —

— Pani milczy tak uparcie... Prawdopodobnie

od dzieciństwa nosi pani gruby moralny gorset... Dostęp do serca utrudniony, ale ja nie odejdę... Pani rozumie — ? Nie odstąpię. Może pani sądzi, że wlecze się za nią prostytutka, awanturnica, pijaczka, ulicznica — — ?

— Nie, pani. Widzi pani — wyjmuję z za stanika zwitek papieru. Dyplom ukończonego gimnazjum, wyższych kursów dla kobiet i — *parbleu!* nawet świadectwo Sorbony, proszę pani... Gruby, elegancki papier, stemple — — A może pani nie rozumie już po polsku? Pani woli *cette lanque française*, si *molle*, si *élégante et douce*, niż nasz ordynarny, rodzimy język — — — Ktoś o nim powiedział cudnie, że jest w nim coś z pieśni i coś z bohaterskiego szczęku pan-cerzy, ale panią to przecie nie obchodzi — —

— A może pani lubi język angielski — pani sama charateryzuje się na lady z tymi silnie wyszczotkowanymi włosami i pewną zalotną surowością w kroju sukien — — Ach, proszę pani... Mówię płynnie po angielsku, francusku, rosyjsku i włosku... Dość chyba? Gram dobrze na fortepianie, a nawet kiedyś tam, miałam jakieś aspiracye literackie, i dość poczytne dzienniki drukowały me nowele pełne słońca, śmiechu, pachnące wiosną — —

Zdawało mi się, że idąca przedemną kobieta słucha. Więc mówiłam... a każde słowo miało purpurową barwę krwi wyciekłej z samego serca.

— Teraz mi pani może wierzy, że nie jestem obłąkaną, albo awanturnicą? Boże, jak pani szybko idzie... Tak mi słabo — — Pani lęka się — — Ale ja mam tylko gorączkę, zresztą jestem przytomna i muszę pani opowiedzieć, jak mnie los zdeptał... Może zbudzę w pani ludzkie, czujące serce?

...Wie pani, kochałam, zaręczona byłam... Jego wypędzili z uniwersytetu... Rozumie pani — polityczny był... zesłali... Daleko — Archangielskaja gubernia... Ojciec kazał sobie „wybić z głowy“... No tak, człowiek wykolejony... Co za przyszłość dla panny z „dobrego domu“? Nie byłoby przecie ośmiu w dobrym tonie urządzonych pokoi, toalet od Hersego, służby, five o'clock'ów, corocznych wycieczek do Biarritz, Ostendy, albo choćby Abbazyi...

Nie pisał miesiącami... Ktoś mi powiedział, że chory... Te noce... Wie pani... te noce zimowe, zanim ukradłam ojcu kilkadziesiąt rubli na drogę i uciekłam do niego — — Jechałam kilka dni. Były śnieżyce. Pociągi stały po kilkanaście godzin na głuchych pustych stacyach. Wreszcie zziębła i mdlejąca ze znużenia przebrnęłam śniegami jakieś wiorsty, zda się, nieskończone, dzielące mnie od domu, w którym on mieszkał... Pytam stróża: — Jest Władysław Witoldowicz w domu? — A jest... ale niech panienka tam nie idzie... u brata ktoś jest... I smagnął mnie

twarży jego uśmiech bezwstydy, jego wzrok szyderski i dwuznaczny. Poszłam na górę... zapukałam... nikt nie odpowiadał... Pukałam znów... Tak długo trzeba było czekać... Uchyliły się drzwi. Zobaczyłam twarz zmiętą znużeniem... tę drogą, jedyną twarz, te jasne, jasne włosy wzburzone nad czołem... Zapachniało wódką, tytoniem, potem niechlujnej kobiety — — Na łóżku zamajaczył kształt rozczochranej dziewczyny palącej papierosa — — A na biurku stała moja — rozumie pani — moja fotografia — — — Powoli zesłam ze schodów — — Zapadał już ciężko wieczór zimowy, niebiesko-szary, mroźny — —

Pani wzrusza ramionami? Pani niecierpliwi się? Ach taaak... Więc pani jest takie sobie polspolite zwierzę — — A jeśli pani zawoła policyanta, to w twarz pani dam tu, na tej rojnej ulicy... w twarz, którą pani na pewno elegancka pokojówka osłania na noc miękką یرchą nasiąkłą wonnem mlekiem z ogórków, a rano zmywa troskliwie rozczyne benzoesu...

Widzi pani tę chudą dziewczynę, stojącą tam pod bramą? Jak drży z chłodu... Tamta była taka sama. Taką samą miała grubą maskę z takich szminek, takie same cierpliwe, tępe oczy zwierzęcia. O... widzi pani? Młody, dobrze zbudowany pan przystaje przed nią. Jak on uważnie patrzy, czy warta co jeszcze, jak taksuje jej zmęczone, wyczerpane ciało — — Widzi pani

wyraz jego ust? Gwizdnął cicho — ona idzie za nim lekko, elastycznie, ożywiona nadzieją zarobku... Musi być jednak bardzo osłabiona, bo idzie coraz wolniej... wolniej... wlecze się, jak suka... Pardon! Panią uraził rodzimy wyraz — suka — wyraz mocno trywialny... A więc: jak ratlerka, pinczerka, foxterierka, he?

Weszła znów do sklepu, w którym piętrzyły się przeróżne modele kapeluszy, piany koronek, stopy mor, piór strusich i sztucznych kwiatów, nabierających w elektrycznym świetle niezliczonych lamp złudnych pozorów życia. I znów na wązkich, dumnych, ciemnoszkarłatnych ustach damy zatrzepotał się dawny zmysłowy i lubieżny uśmiech, i znów szczupłe, blade ręce drżały lekko w miękkich zwojach kosztownych materyi.

Zginały przed nią swe dobrze uczesane głowy wysznurowane sklepówki o twarzach znużonych pracą i rozpustą. Ich oczy bezczelne i zmęczone strzelały blaskiem tajemnej radości, zatrzymując się na tarczy zegara, który obiecywał bliską godzinę wyzwolenia i szeptał monotennie, że stęskniony wielbiciel czeka już niecierpliwie w bramie.

Bardzo biała, jakby marmurowa twarz kupującej ożywiała się zwolna, nabierała różowych tonów, jakby od sztucznych kwiatów i pochylała się z tym drażniącym, prawie namiętym

uśmiechem nad cackami z aksamitu, gazy i lśnią-
cych, drogich piór spiętych klamrami.

— Och, bydlę, bydlę... — szczękały mi zęby
i znów zakłębiła się w piersiach wściekła chęć
zerwania z wązkich ramion damy futrzanego
kołnierza.

— Ukradnę chyba — powiedziałam prawie
głośno. Nagle dosłyszałam przez uchylone drzwi
sklepu mdlejący, pieszczony głos.

Mówiła:

— Nie wiem, kto to jest — — Zmuszona
będę wezwać interwencji policyi. Lękam się...

Z za wielkiej szyby drzwi wyrzała upudro-
wana twarz jednej z pańien sklepowych. Bystre
i bezczelnie śmiałe oczy obiegły mnie i znikły.

— To jest, proszę jaśnie pani, coś lepszego.
Napewno. Przyzwoicie ubrana, tylko strasznie
blada, jakby chora... A może to waryatka?...
Więc dla jaśnie pani te dwa modele?

Szłam znów za nią i dygocące ręce tuliłam
do piersi, w której, jak obłąkane, szalało serce.

— Jaśnie pani... Jaśnie oświecona pani z ty-
loma pałkami w herbie książęcym... Ja nie chcę
żebrać! Ja chcę pracować... Jestem sama szlach-
cianką — może to przemówi do głuchego serca
pani — Na rany Chrystusa, na siwą głowę ojca
przysięgam pani, że jestem uczciwą dziewczyną,
która nie może znaleźć pracy... Od dwóch dni
nie jadłam nic, prócz jednej bułki. Brzydząc się

brudną bielizną, a nie mając innej na zmianę, rzuciłam ją... Bez koszuli jestem... drżę z chłodu...

Chwiejąc się i sianiając szłam z twarzą zalaną strumieniem łez piekących.

— Niechaj pani słucha — szeptałam z wysiłkiem — Jest przecie pewien łatwy sposób, abym ja w tem potwornie wielkiem, obcem mieście nie umierała z głodu — — Zna pani płótna Giorgione'a? Niech mi się pani przyjrzy. Pani, ja mam, słyszy pani, mam straszną świadomość tego sposobu — ja — czysta, uczciwa dziewczyna...

...Pani tak szybko dąży do powozu, w którym leżą stosy jedwabiu kupionego przed chwilą. Pani mnie nie słyszy?

Obróciła się. Jej cienkie brwi zbiegły się gniewnie, zimne oczy patrzyły niecierpliwie i królewsko. Wyciągnęła znów rękę z rublem lśniącym na czarnem tle rękawiczki.

Błyskawicznie wytrąciłam pieniądz z jej ręki i — na Boga — gdyby nie była szybko wsiadła do powozu, byłabym biła, szarpała aż do krwi tę bladą dumną twarz, te wąskie ramiona strojne w przepych futra... Byłabym ją powaliła na bruk i kopała ciężko, morderczo tę wytwornie uczesaną głowę w drogim, modnym kapeluszu z nienawiścią, szaleńczo i rozpaczem...

Usłyszałam znów pieszczony głos z wnętrza wybitej bladozielonym pluszem karety:

— Janie, proszę odpędzić tę awanturnicę!

Przez krwawe łyż raz jeszcze w szybie po-
wozu zobaczyłam gniewne, złe oczy i ten koł-
nierz, ten kołnierz z niebieskich lisów — —

— — — — —
— — — — —
— — — — —

...Czy pana znam, dobrze zbudowany panie,
poszukujący taniej „miłości“? Ależ oczywiście.
Przed chwilą, gdy szłam za pewną damą —
mniejsza o to, że miała cudny kołnierz z błęki-
tnych lisów — zatrzymałeś się przed zziębniętą
dziewczyną o białej, znużonej masce i zabitych,
tępych oczach... Widocznie jednak była zbyt
głodna, zbyt brzydka, zbyt zniszczona... Może
zbyt tania... Pan przecie ma dość kosztowne
futro i wcale modny cylinder — — — —
Pan pyta o coś? Ach, tak, bardzo jestem zmę-
czona... Gdzie zjemy kolację? Obojętne — —
Czy pójde z panem? — — dobrze. Tylko kup
mi pan natychmiast bieliznę, zapłać kąpiel — —
i — daj jeść... jeść... jeść... — — —

— — — — —
— — — — —
— — — — —

Tryumfuj, złe, huczące, straszne miasto...
Ktoś łąka, pijąc taniego szampana w splu-
gawionym tchnieniu rozpusty gabinecie trzecio-
rzędnej restauracji. — —

....Ktoś łąka — — —

Czyjaś młoda, złocista głowa toczy się
w błoto, w otchłań, pełną krzyku, śmiechu
i krwi — — —

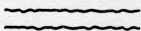
Słyszysz ten płacz pijany, dziewczęcy płacz,
o miasto?

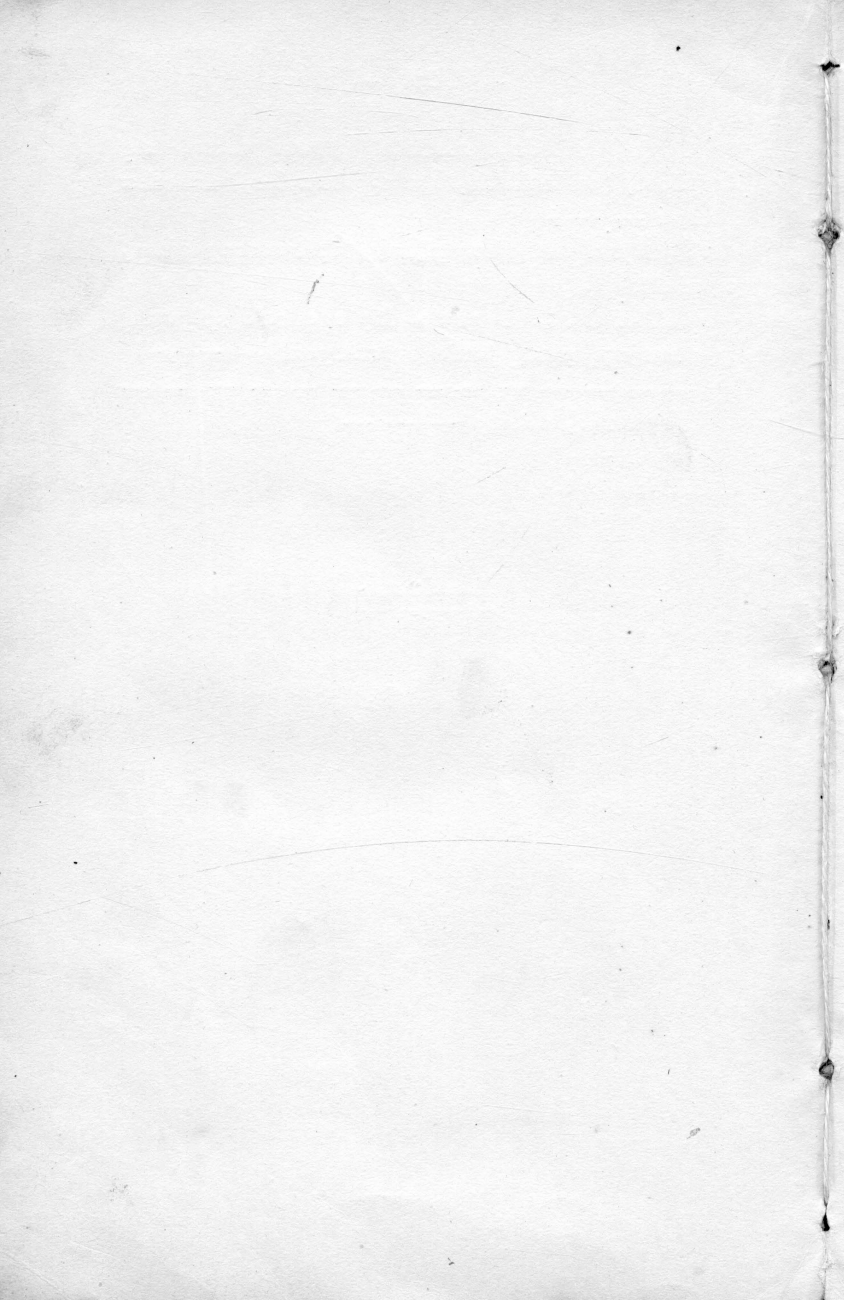
...Ktoś łka... I czyjeś łzy rzęsiście spływają
w musującą pianę taniego szampana — — —

— — — — —

Tryumfuj, miasto — — —

Rzym, 1910.





SPOJRZENIE



Pamiętam, że noc, w której spotkałem tego dziwnego człowieka była szczególnie jasna, ciepła i cała przesycona skombinowaną wonią późnej wiosny.

Nie mogąc spać, włóczyłem się po napół uśpionych ulicach Warszawy, przystając koło rzadkich ogrodów, z których buchały zapachy jaśminu i bżów. W księżycowym świetle ciche miasto nabrało pozorów widmowych, stało się seledynową bajką cudownych pałaców, srebrnych świątyń i lazurowych kolumnad, powiązanych lekkimi łukami miesięcznych blasków.

Gdy zdala zbliżała się jasna postać kobieca, marzyłem...

Oto księżniczka ze srebrnych krużganków, która idzie do mnie po kryształowych schodach, usypanych płatkami róż. Ma dziewicze przeczyste oczy, złociste warkocze i nietknięte usta, które czekają na mój pocałunek — —

Ale każda z tajemniczych „księżniczek“ przechodząc koło mnie szeptała ochryple: — „Pój-

dziemy?” Miała rude, rozczochrane włosy, niezdarne węglem podkreślone oczy i wstrętne, tłuste od karmínu usta, uśmiechnięte tępo, pełne plugawych słów rozpusty.

Odwracałem się z dreszczem ohydy i szedłem dalej ulicą białą, srebrną, której czynszowe, brudne kamienice noc zamieniła w błękitne pałace.

W jakimś zaułku przystanąłem przed otwartymi drzwiami knajpy, z których biło światło i pijacki gwar zmieszany z rykiem orchesterionu.

Spojrzałem.

Przy najbliższym stoliku, obrócony twarzą do mnie siedział Łosiewicz, zwany popularnie i złośliwie „dżentelmenem“. Wiedziałem o nim, że był człowiekiem „wykolejonym“, że kradł, pił i fałszował weksle, że przyrosło do niego miano szubrawca. Ilekroć razy go widziałem, męczyła mnie zagadka, jakimi drogami człowiek ten, pochodzący z tak zwanej „dobrej“ rodziny, który ukończył uniwersytet i odznaczał się niegdyś wielkimi zdolnościami, zeszedł na dno hańby i upodlenia.

Spojrzałem w jego rozpaloną, pijacką twarz i spotkałem się z utkwionem we mnie spojrzeniem strasznych, ciągle łzawiących oczu. W tym nieruchomym, nieprzytomnym wzroku było coś, przed czym zadrżałem.

Bezwiednie przestąpiłem próg spelunki i usiadłem przy stoliku Łosiewicza. Spojrzał na mnie

bystro, przytomnie i uśmiechnął się prawie lękliwie. Szybko nalał mi ogromny kieliszek jakiejś lepkiej wódki i znów spojrzał uważnie z pod obrzmiałych, czerwonych powiek.

W milczeniu przyglądałem się jego brudnej koszuli, lśniącej od tłuszczu marynarce i rozczochranym włosom, siwiejącym u skroni przedwcześnie. Dziwnym, groteskowym wprost kontrastem odbijały od tego niechlujnego stroju i obrzmiałej pijackiej fizygnomii ręce Łosiewicza — przepysznie utrzymane, bardzo białe, o lśniących, wyszlifowanych paznogiach, z cienkimi rasowymi palcami, które nerwowo kreśliły coś na brudnym marmurze stolika.

Łosiewicz miał, jako tło, jedną z tych wstrętnych ostatniorzędnych knajp, w których nad ranem zbierają się uliczne kobiety, opryszki i różne mocno podejrzane, wielkomiejskie „dzieci nocy“.

Na czerwonych ścianach nędzne oleodruki przedstawiały jakieś pojedynki, walki na sztylety, panie w różowych sukniach, tańczące menueta z panami w błękitnych frakach. Za bufetem drzemała blada, młoda żydówka z podbitem okiem, a jegomość z opasłą twarzą przyglądał się bacznie i chytrze czterem grającym w karty pijanym mężczyznom o niedwuznacznych fizygnomiach. Przy orchestronie, ryczącym ochryple walca z niemodnej operetki, stała mała, chuda dziewczyna, z czerwoną wstążką we włosach

i liczyła głośno jakieś pieniądze, żując chwilami tanie cukierki.

Gdy wzrok mój powrócił do twarzy Łosiewicza, ten zakaszlał i wyksztusił:

— Pan dobrodziej tak, ze spaceru... wstąpił... Tu wcale przyjemnie... Nad ranem, panie, przychodzą niebrzydkie, panie, tego... Niebrzydkie panienki...

Zamyślił się. Po chwili wychylił kieliszek wódki. Maczając palec w rozlanym lepkim i czerwonym płynie, nakreślił na marmurze stolika imię kobiece. Przeczytałem je.

— Julia — powtórzyłem w duchu i ze wstrętem pomyślałem, że imię cudnej kochanki Romea, donny Capuletti, nosi jedna z tych kobiet, które schodzą się tu nad ranem.

Nagle Łosiewicz pochylił się ku mnie i marszcząc brwi zapytał z godnością:

— Przepraszam pana... Czy pan jest — zakasztusił się pijacką czkawką. — Czy pan jest dżentelmenem?

Uśmiechnąłem się niewyraźnie. Przeczucie podszepnęło mi, że usłyszę ciekawe zwierzenia, a moja bogata fantazja literacka zaczęła już naprzód kreślić obrazy ciemne, bolesne, straszne. Spuściłem oczy na brudny marmur stolika i czekałem w milczeniu.

— Bo mnie się zdaje, że pan jest dżentelmenem — użył znów swego ulubionego wyra-

żenia. — Widuję pana zawsze w towarzystwie ludzi wykwintnych, którym wszyscy podają rękę i pięknych, młodych dam, które może nie raczą nawet wiedzieć o istnieniu takich oto tworów, jak ta, chciwie licząca grosze dziewczyna z czerwona kokardą. Nie ma pan pojęcia, jak ja dawno nie rozmawiałem już z „człowiekiem z towarzystwa“ dobrze ubranym, dobrze wymytym, któremu wszyscy podają rękę, który jest prawdziwym dżentelmenem... Ja czasem, aby popatrzeć na takich ludzi, stoję pod oknami i tarasami wielkich kawiarni i restauracji, stoję sobie gdzieś za drzewami, w ukryciu i patrzę... patrzę... No i uwierzy pan? Czasem widzę tam — siebie. To halucynacya, ale ja siebie widzę... Siedzę w takiej kąpiącej od złocen i świateł sali w małym, dobranem towarzystwie eleganckich, wykwintnych mężczyzn — takich bez zarzutu — i dam ze świata, dystyngowanych i miłych... Mam oślepiająco biały gors koszuli, dobrze skrojony smoking, gładko ogoloną, czystą twarz. Wszyscy mi podają ręce i słyszę, jak o mnie mówią: — Ten Łosiewicz to — prawdziwy dżentelmen... Ale po co ja to panu opowiadam — uderzył pięścią w stół ze złością — ja chciałem zupełnie co innego... Panie Grünszpan, wódka... Ma pan rubla do kroćset, jeśli mi pan nie ufa — rzucił w kierunku bufetu dużą srebrną monetę.

— Więc — jeżeli pan jest człowiekiem dyskrety i honoru — opowiem panu trochę o sobie... To imię, widzi pan, zawsze kreślę taką czerwoną fałszowaną i farbowaną wódką na tym stoliku i zdaje mi się, że je kreślę krwią własną... Hel he! panie literacie — zaśmiał się cynicznie. — Znam parę pańskich tak bardzo czytanych książek. Pisze pan o cierpieniu, nędzy, grzechu, ale coś pan o tem wie, pan, który nie kradł, nie fałszował weksli, nie nocował pijany w ryszotkach, nie siedział w więzieniu... Pan, któremu wszyscy rękę podają?...

Umilkł na chwilę, a potem zaczął szeptać tajemniczo z wytrzeszczonemi oczami, których źrenice były mętne a białka krwawe.

— Ona mnie zgubiła panie... Kobieta... A raczej nie ona, tylko jedno jej spojrzenie... J e d n o s p o j r z e n i e rozumie pan?

Nie wiem skąd — ale miałem niezłomną pewnością, że będzie mówić szczerze, bez pijackich kłamstw i pozy. Skulony słuchałem z wewnętrznym, bolesnym dreszczem:

— Nazywała się Julia... Była moją narzeczoną, panie. Nie wiem, dlaczego pokochałem ją. Przecie zawsze ciągnęło mnie do sprzedajnych kobiet, do taniej rozpusty, bezmyślnych, wstrętnych orgii... Nie lubiłem po prostu przyzwoitych kobiet i innej atmosfery, jak zatrute tchnienie knajpy i szantanu. Tonąc w błocie wyuzdania

i rozpusty, poznałem ją... Była, wie pan, taka biała, czysta, nietknięta panienczka, takie zupełnie ślepe na brud życia dziewczątko... Pamiętam, że przyszła do mojej siostry o zachodzie słońca właśnie kiedy wstałem z łóżka, bom rano wrócił pijany po jakiejś orgii z kobietami z szantanu. Zobaczyłem ją całą w słońcu, w niebieskiej sukience i oczu od niej oderwać nie mogłem... Przypomniły mi się wymalowane gęby szansonetek, ich pijane wrzaski, ohydne piosenki... A ona stała w drzwiach, uśmiechała się do mnie przyjaźnie i cieniutkim głosikiem pytała: — Czy Andzia jest w domu?

I, wie pan, pokochałem ją właśnie za ten uśmiech rzucony mnie — cuchnącemu jeszcze wódką i taniami perfumami ulicznicy, za to, że jest taka czysta, taka nieświadoma, taka dziecinną — — Ponieważ wówczas byłem jeszcze człowiekiem, któremu podawało się rękę, i który miał przed sobą ładną przyszłość, rodzice jej zgodzili się na nasze zaręczyny. W ich domu było cicho, jasno, czysto... Białe firanki, kwiaty w oknach stary fortepian, wszystko, wie pan, takie miłe, sentymentalne jak z powieści. Lubilem z narzeczoną prowadzić długie rozmowy podobne do niej — dziecięce, niewinne, przejrzyste. Miała takie śliczne, dobre, ciemnoniebieskie oczy, jasną pleć i długie, długie jasne włosy... O zmroku, jak wszystkie narzeczone, grywała mi Chopina, albo,

siedząc przy mnie na balkonie, lubiła w milczeniu patrzeć na ludne ulice, na których zapalano latarnie. Dusza jej podobna była do jakiegoś górskiego jeziora — spokojna, śliczna aż do dna przezroczysta... Zapomniałem przy niej o rozpuszcie, kartach, kolegach i knajpie, utonąłem cały w błękitcie jej oczu, w promieniu jej uśmiechu. Ale przecie ten bydlęcy tłum zawsze zepsuć musi każdy miraż szczęścia...

Ktoś doniósł jej rodzicom, że lubię hulać, grać w karty, trwonić pieniądze, że przebywałem przeważnie w towarzystwie utracyuszów i dwuznacznych kobiet i t. d. i t. d. — Zauważyłem badawcze, niechętnie spojrzenia i odczułem chłód mrozący przyjazne dla mnie uczucia — — Wówczas z rozpacz popeliłem pierwsze świństwo. Dałem Juliś słowo honoru, że jeśli w ciągu dwóch dni rodzice jej nie zmienią się w stosunku do mnie, strzelę sobie w łeb. Nazajutrz nie zostałem u nich przyjęty. I, choć powinienem był strzelić sobie natychmiast w łeb, przy pomocy nie wiedzącego zresztą o co chodzi, znajomego lekarza przestrzeliłem sobie ucho i udawałem ciężko rannego. Biedactwo rozchorowało się ze zmartwienia, a ja po rzekomem wyzdrowieniu wróciłem do dawnych praw narzeczonego. Ale oto po tem pierwszym świństwie rozpoczął się we mnie psychiczny rozkład. Zacząłem powoli pić i chodzić do nocnych lokali z muzyką i ta-

k i e m i kobietami. I kiedyś popełniłem nową podłość. Wracając wprost z orgii o dziewiątej rano, kupiłem w kwiaciarni pęk białych, jak dusza Julii kwiatów, odwioziłem do domu jakąś tancerkę na pół pijaną i poszedłem — zielony już, nie blady ze zmęczenia — do narzeczonej. Podając jej kwiaty, mówiłem dużo i wzniośle o mojem moralnem odrodzeniu, które jej zawdzięczam, i wreszcie skłamałem, że całą noc stałem wpatrzony w jej okno, w różowe światelko nocnej lampki. — — Widziałam — szeptała z radością. A pod oknem wówczas stał ktoś wynajęty w mojem palcie i kapeluszu... I, co najstraszniejsze, — temi samemi ustami, które przed chwilą całowały plugawe, sprzedajne usta szansonetki, usta może grożące straszną chorobą, całowałem wówczas przeczyste, radosne oczy i niewinne usta mej narzeczonej — — W dodatku, w tym czasie straciłem ostatnią nadzieję otrzymania spadku i musiałem się z Julią ożenić także dla względów materialnych. Miłość moja dla niej dziwnie zmalala, zgasła, choć w głębi serca tliła jeszcze podsykana ambicyą, próżnością, chęcią posiadania żony dobrze wychowanej, ładnej, z zamożnej i ogólnie szanowanej rodziny...

Wypił kieliszek wódki i tępo wpatrzył się we mnie. Nie odrywając od mej twarzy tego szklanego i nieruchomego spojrzenia mętnych źrenic, mówił dalej:

siedząc przy mnie na balkonie, lubiła w milczeniu patrzeć na ludne ulice, na których zapalano latarnie. Dusza jej podobna była do jakiegoś górskiego jeziora — spokojna, śliczna aż do dna przeźroczysta... Zapomniałem przy niej o rozpuszcie, kartach, kolegach i knajpie, utonałem cały w błękitcie jej oczu, w promieniu jej uśmiechu. Ale przecie ten bydlęcy tłum zawsze zepsuć musi każdy mıraż szczęścia...

Ktoś doniósł jej rodzicom, że lubię hulać, grać w karty, trwonąć pieniądze, że przebywałem przeważnie w towarzystwie utracyuszów i dwu znacznych kobiet i t. d. i t. d. — Zauważyłem badawcze, niechętne spojrzenia i odczułem chłód mrozący przyjazne dla mnie uczucia — — Wówczas z rozpaczyny popełniłem pierwsze świństwo. Dałem Juliś słowo honoru, że jeśli w ciągu dwóch dni rodzice jej nie zmieniają się w stosunku do mnie, strzelę sobie w łeb. Nazajutrz nie zostałem u nich przyjęty. I, choć powinienem był strzelić sobie natychmiast w łeb, przy pomocy nie wiedzącego zresztą o co chodzi, znajomego lekarza przestrzeliłem sobie ucho i udawałem ciężko rannego. Biedactwo rozchorowało się ze zmartwienia, a ja po rzekomem wyzdrowieniu wróciłem do dawnych praw narzeczonego. Ale oto po tem pierwszym świństwie rozpoczął się we mnie psychiczny rozkład. Zacząłem powoli pić i chodzić do nocnych lokali z muzyką i t.

k i e m i kobietami. I kiedyś popełniłem nową podłość. Wracając wprost z orgii o dziewiątej rano, kupiłem w kwiaciarni pęk białych, jak dusza Julii kwiatów, odwioziłem do domu jakąś tancerkę na pół pijaną i poszedłem — zielony już, nie blady ze zmęczenia — do narzeczonej. Podając jej kwiaty, mówiłem dużo i wzniośle o mojem moralnem odrodzeniu, które jej zawdzięczam, i wreszcie skłamałem, że całą noc stałem wpatrzony w jej okno, w różowe światelko nocnej lampki. — — Widziałam — szeptała z radością. A pod oknem wówczas stał ktoś wynajęty w mojem palcie i kapeluszu... I, co najstraszniejsze, — temi samemi ustami, które przed chwilą całowały plugawe, sprzedajne usta szansonetki, usta może grożące straszną chorobą, całowałem wówczas przeczyste, radosne oczy i niewinne usta mej narzeczonej — — W dodatku, w tym czasie straciłem ostatnią nadzieję otrzymania spadku i musiałem się z Julią ożenić także dla względów materialnych. Miłość moja dla niej dziwnie zmalala, zgasła, choć w głębi serca tliła jeszcze podsykana ambicyą, próżnością, chęcią posiadania żony dobrze wychowanej, ładnej, z zamożnej i ogólnie szanowanej rodziny...

Wypił kieliszek wódki i tępo wpatrzył się we mnie. Nie odrywając od mej twarzy tego szklanego i nieruchomego spojrzenia mętnych źrenic, mówił dalej:

— Na tydzień przed ślubem opętał mnie bies. Miałem nagły poryw uczciwości. Siedzieliśmy w taką, jak dzisiejsza noc, na balkonie. Patrzyłem w twarz Julię bladą i niewinną, w jej czyste, ufne, wierne oczy. I nagle zacząłem mówić — wie pan, tak, jak gdybym nie ja mówił, ale ktoś inny, obcy, strasznie, morderczo szczery... Powiedziałem, że kupowałem sobie te kobiety z malowanemi twarzami, które wieczorami chodzą same po ulicach. Powiedziałem o strzale w ucho i o tem, że po nocy rozpusty całowałem usta jej dziecięce, że wynająłem człowieka, aby pod oknem udawał mnie, że zataiłem przed jej rodzicami, iż nie dostanę spadku i liczę tylko na posag, że w nocnych lokalach i szantanach z pijaną prostytutką u boku, pisałem do niej miłosne listy, udając, że piszę je, nie mogąc spać u siebie w domu. Krzyczało coś we mnie: — Milcz! Ale ja musiałem mówić i wyznawałem wszystkie najmniejsze podłości, świństwa i zbrodnie, które systematycznie popełniałem w stosunku do mej narzeczonej. Tłumaczyłem, jej, że powinna mi wybaczyć, choćby dlatego, że uczciwie wszystko jej wyznaję. Ona bladła, bladła, nieruchoma, ze spuszczonemi powiekami, cała jasna w miesięcznym blasku... Byłem pewny, że mnie zrozumie i przebaczy. Ale ona nagle podniosła powieki i jednym spojrzeniem — rozumie pan? — jednym spojrzeniem spoliczkowała mnie, ode-

pchnęła i wyrzuciła za drzwi. Tem jednem spojrzeniem kobieta ta zrobiła ze mnie — szubrawca!

Urwał i wypił duszkiem dwa kieliszki wódki. Czerwony i straszny z nieruchomo złożonymi rękami mówił cicho i ochryple:

— Tak! Jestem szubrawcem i nawet chwilami jestem z tego dumny! Bo w fakcie, że jestem szubrawcem, kryje się cała otchłań niedoli.

— Otchłań niedoli — powtórzył już ze sztucznym patosem. — Ja, staczając się na dno hańby i nędzy, pamiętałem zawsze, że niegdyś podawano mi rękę, nazywano dżentelmenem, proszono, bym był sekundantem, wyzywano na pojedynek i szanowano. Kradłem brylantowe kolczyki mej ko-chance, śpiewaczce kabaretowej, a wiedziałem, że jestem Łosiewicz! Fałszowałem na weksłu podpis mego ojca, który przeze mnie umarł na atak sercowy, a wiedziałem, że jestem Łosiewicz! Ukradłem ostatniego rubla takiej głodnej dziewczynie ulicznej z czerwoną kokardą, która wówczas od trzech dni prócz wódki nic w ustach nie miała, a nie zapomniałem, że podawano mi kiedyś rękę, że matka moja była wzorem kobiet, a ojciec ideałem prawości. Wogóle niech pan zrozumie tę mękę: ja nigdy nie zapomniałem, że byłem człowiekiem honoru...

Zasłonił obrzękłą, pijacką twarz blademi rękami o lśniących, delikatnie różowych paznogciach.

— Widzi pan co może zrobić z człowieka

jedno spojrzenie kobiety, spojrzenie tak pełne wzgardy, że nie powinno się żyć po niem... Ale cóż, kiedy ja zawsze byłem tchórzem, nawet wówczas, gdy jeszcze nie kradłem, nie piłem, nie siedziałem w więzieniu i nie służyłem za cel drwin bandytom i dziewczynom ulicznym. Pamiętam jak strasznie bałem się jednego pojedyńku... Tej chwili, gdy mój przeciwnik podniósł pistolet i w rannem słońcu zaśniła lufa... Myślałem, że oszaleję ze strachu, choć uśmiechałem się i udawałem nieustraszonego — — A potem gdy tamtego — młodego, zresztą, i miłego chłopca — postrzeliłem w brzuch śmiertelnie, zemdlałem, ale zemdlałem ze strachu, a nie z żalu, iż zabiłem człowieka... Tak! Powinienem być po tem spojrzeniu, tam, u jej nóg strzelić sobie w łeb... Nie byłbym szubrawcem no — i pan — zaśmiał się nieoczekiwanie, złośliwie i cicho — pan nie miałby tak wspaniałego tematu do wysoce interesującej noweli — — —

Zamilkł i wpatrzył się we mnie prawie niewiastnie. Ręce mu drżały, i krwawe oczy poruszały się szybko w obrzękłych sinoczerwonych powiekach. Wreszcie uśmiechnął się cynicznie i wzgardliwie.

— Ej panie literat — zaszeptał prędko — piszący o otchłaniach człowieczej nędzy i upodlenia, o Gehennach paryasów, wykolejeńców, strażników, tych tragicznych jednostek, którą niemiec

nazywa wcale dowcipnie:—verkrachte Existenz a francuz: un homme declassé... Hę? gdybym raczył—słyszysz?—gdybym raczył wydzierać z piersi mej takie przeróżne krwawe strzępy życia „szubrawca“, co niegdyś był „dżentelmenem“, i rzucać ci je pod chciwe, zachłanne oczy badacza, ujrzałbyś dopiero, jak bładą, nędzną i śmieszną jest wasza głupia tania i płaczliwa literatura!

Uderzył z wściekłością pięścią w stół. Był już zupełnie pijany, siny i nieprzytomny. Podparł rękami chwiejącą się głowę i oddychał ciężko z trudnością chwytając powietrze ustami, z których szybko ściekała lepka ślina.

Orchestrion po raz niezliczony powtarzał chrapliwie szaloną i wyuzdaną melodyę Ma t c h i c h e 'a, Grający w karty mężczyźni bluzgali straszniemi słowami przekleństw, grózb i wymysłów. Błada żydówka z podbitem okiem uśmiechała się do nich błagalnie, a opasły właściciel szynku pchał w rękę podpitego stójkowego zwykłą, co-nocną łapówkę, mrugając chytrze i przebiegle bezzręsnemi powiekami.

Zasłoniłem twarz rękami w nagłym, niewysłowionem znużeniu. Było mi duszno, źle, ciężko. Cierpiałem.

Ze straszliwej zadumy obudził mnie przepity kobiecy głos.

— Ej, dżentelmen — ktoś wołał natrętnie blisko mnie.

Spojrzałem i zobaczyłem pochyloną nad Łosiewiczem dużą, tęgą dziewczynę. W jej niezdar-
nie umalowanej twarzy nie było już nic ludz-
kiego. Z pod rozczochranych włosów bieleła uró-
żowana maska bezmyślna i zwierzęca, tępa i wra-
żliwa tylko na razy, zadane brutalną pięścią
mężczyzny. Powtarzała ochryple i natrętnie:

— Ej, dżentelmen! Wódki!

Oderwał od twarzy ręce i popatrzył na dziew-
czynę, a potem na mnie. Uśmiechnął się nieprzy-
tomnie i, pochylając się blisko, szepnął:

— Niech pan pomyśli, jakie to straszne... Jej
też na imię Julia — — —

— — — — —
— — — — —

Długo, długo wólczyłem się tej nocy ulicami
Warszawy, które księżyc pokrył bezcennemi ma-
katami ze srebra i błękitu. Mocno i odurzająco
pachniały ogrody pełne kwitnących bzów i ja-
śminu. Cudowna wiosenna noc zamieniła miasto
w seledynową bajkę przepysznych pałaców, srebr-
nych świątyń, tajemniczych zamków o wieżycach
z księżycowych promieni i lekkich harmonijnych
arkadach jasnych kolumnad.

Gdy zdala zbliżała się cicho postać kobieca,
marzyłem, że idzie jasnowłosa księżniczka ze
srebrnych krużganków, dziewicza i uśmiechnięta,
oczekująca na mój pocałunek — —

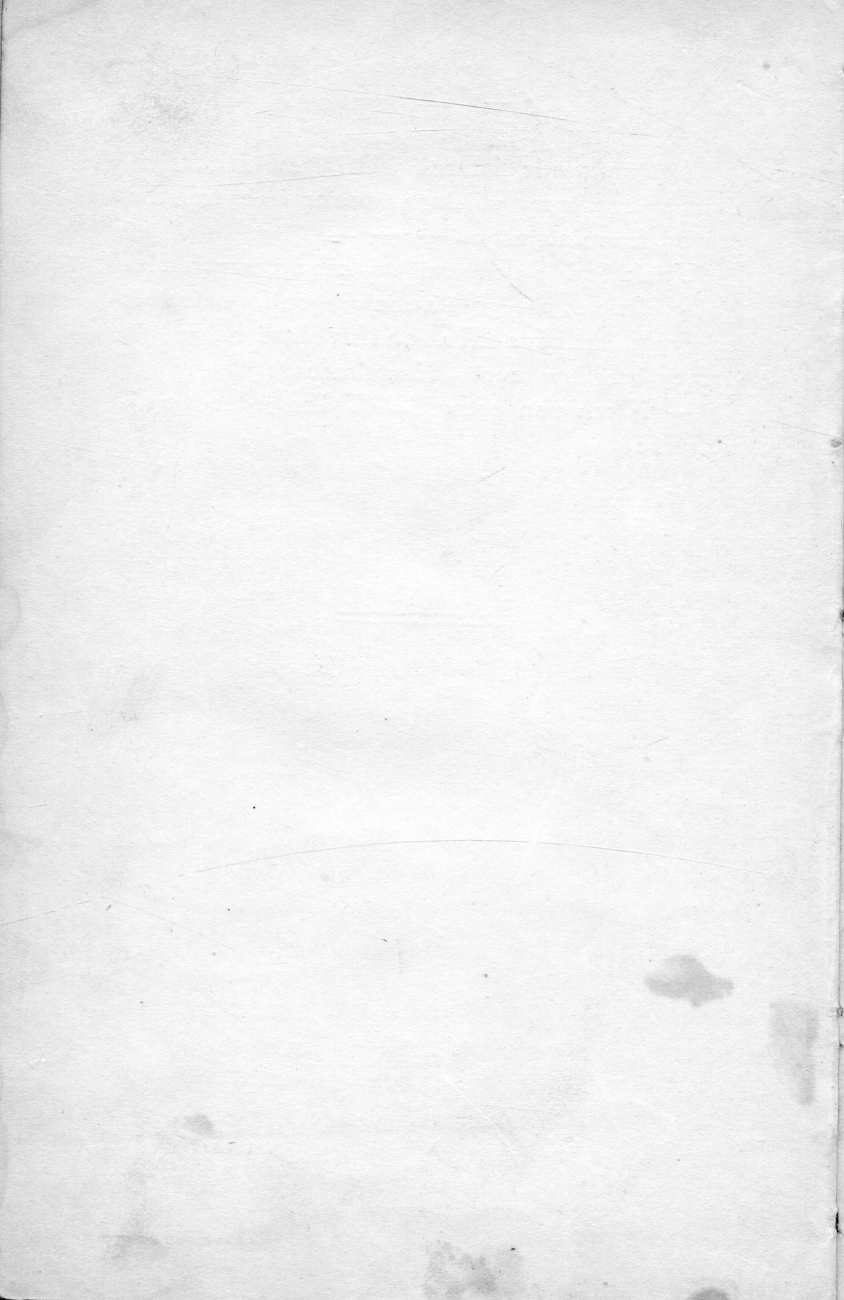
Ale w świetle latarni widziałem, że „księżniczka“ ma tępą, ubieloną maskę i chytre, tłuste od karmínu usta... — — —

Uciekałem błękitnemi od księżycowych blasków ulicami, ale goniła mnie, goniła natrętnie ochrypła melodia Matchiche'a i na jej tle drżący bezsilny szepc „dżentelmena“:

— Niech pan pomyśli... Tylko jedno spojrzenie...

Warszawa.



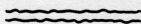


SPIS RZECZY.

	Str.
Czarne łabędzie	1
Akacje kwitną	19
Amphora	37
Pierwsza schadzka	45
Nr. 14.	57
W gabinecie redaktora	75
Miasto	91
Spojrzenie	105

Edycja

1/2



czu

14

zobacz to

to

Spojrzenie

(